15
M. B. P. w Łodzi

Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 11 kwietnia 1948 r. | Nr 15 (144)

W NUMERZE
między innymi:

Hanna Mirecka — Problem mas chłopskich we Włoszech
Witold Kula — Kryzys gospodarczy Wielkiej Brytanii
Jan Szczepański — Co to jest kultura?
Paulina Czyżowa — Szkoła dla literatów
Lech Budrecki — Tracący wiedzę o człowieku
Władysław Błachut — Wojna „Piasta" z „Przyjacielem Ludu"
Piotr Wyrobek — Wieś galicyjska w XIX wieku
Zygmunt Garbacik — Dania po wojnie
Zdzisław Skwarczyński — Jak wychowywał Kipling?
Stefan Szostkiewicz — Czytelnictwo młodzieży

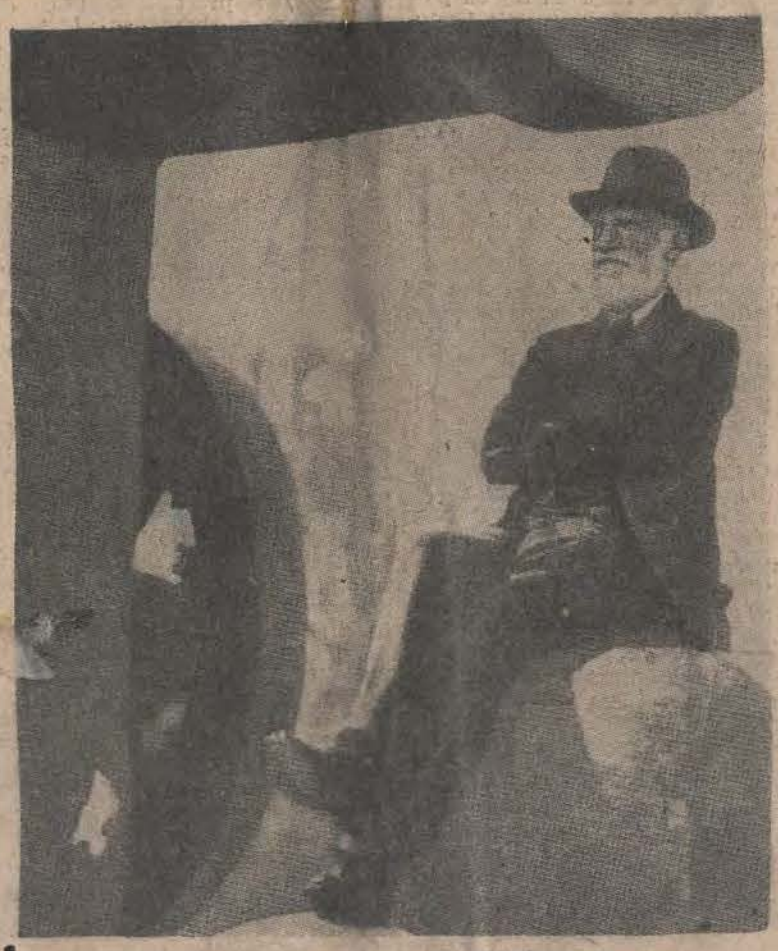

G. B. Shaw na Kremlu. Moskwa 1931 r.

Bernard Shaw

GENEWA

(Fragment)

TELEFON dzwoni na biurku Sędziego. Sędzia naciska guzik i słucha.

Sędzia: Nie będzie pan już musiał dłużej czekać, Sir Midlander. (Do telefonu): Czekamy na niego. Wprowadzić go. (Puszcza guzik). Pierwszym dyktatorem, który przyjdzie jest Signor Bombardone.

Wszyscy: Bombardone!!!

Wchodzi Dyktator, władczy, porywczy, w każdym calu człowiek przeznaczenia.

Bombardone: Czy to jest tak zwany Sąd Międzynarodowy?

Sędzia: Tak jest.

Bbde: Nazywam się Bombardone (wchodzi na podium; bierze najbliższe krzesło i stawia je po lewej stronie Sędziego; po tym opada na nie ciężko). Proszę, nie krępujcie się moją obecnością. Niech pan prowadzi proces dalej.

Sędzia: Muszę panu podziękować, Signor Bombardone, za tak szybkie usłuchanie wezwania sądu.

Bbde: Ja nie słucham nikogo. Jestem tu ponieważ taka jest moja wola. Moja wola jest częścią woli świata i to nieraz dużą częścią. Świat dąży do internacjonalizmu. Gdyby nie to dążenie, które dodaje panu bodźca, nigdy by nie odważył się pan wezwać mnie. Zatem działanie pana jest objawem ruchu cywilizacji. Gdziekolwiek taki objaw daje się wykryć — tam jest moje miejsce: stanowisko przywódcy.

Sir Orpheus: Proszę mi wybaczyć, Signor. Pojmuję, że jest pan wielkim nacjonalistą. Jak może pan być zarazem nacjonalistą i internacjonalistą?

Bbde: Jak mogę być czymś innym? Jak buduje się dom? Przede wszystkim robi się mocne, dobre cegły. Nie można budować domu z mułu. Narody są cegłami, z których musi być zbudowane przyszłe Państwo światowe. Ja zjednoczyłem mój kraj jako naród: biały naród. Potem dołączyłem do niego czarny naród i stworzyłem imperium. Gdy imperia sprzymierzą się, ich przywódcy będą rządzić światem; a ci przywódcy będą mieli nadwodza, który będzie najpotężniejszym człowiekiem świata: to jest moja wizja. Pozostawiam waszemu wyobrażeniu to, co sądzę o motłochu agentów 50 małych, nędznych Państw, który nazywa siebie Ligą Narodów.

Sędzia: Kraj pański jest członkiem tej Ligi, Signor.

Bbde: Mój kraj musi pilnować głupców. Pismo Święte mówi nam, że lepiej spotkać na swej drodze niedźwiedzia niż głupca. Głupcy są niebezpieczni, a tak zwana Liga Narodów jest Ligą Głupców. Dlatego mądrzy muszą do niej należeć, aby pilnować ich. Oto dlaczego w Lidze są wszystkie Mocarstwa rzeczywiste obok małych republik, które pochłoniemy w odpowiednim czasie.

Nowoprzybyły: Wyjaśnij to, panie. Ja nie rozumiem.

Bbde (pogardliwie do Sędziego): Niech mu pan powie, że to jest sąd ludzi, którzy rozumieją i, że miejsce tych, którzy nie rozumieją jest w klasie spokojnych, ślepo posłusznych robotników.

Nowoprzybyły: O, to jest pana pomysł, prawda? Kim pan jest, że ja miałbym być panu posłusznym? A demokracja?

Bbde: Jestem kim jestem: ty jesteś kim jesteś; a skutkiem tych dwóch faktów ja jestem tam, gdzie jestem, a ty jesteś tam gdzie jesteś. Sprobuj zamienić się ze mną miejscami: mógłbyś równie dobrze próbować zmienić drogę słońca na firmamencie.

Nowoprzybyły: Pan siebie bardzo ceni, prawda? Pytam pana powtórnie: co z demokracją?

Nieuśmiechnięty pan w średnim wieku, szczupły, trzymający się prosto, o zdecydowanie niezadowolonym wyrazie twarzy, wchodzi powoli.

Niezadowolony jegomość: Czy to jest posiedzenie wydziału sprawiedliwości międzynarodowej?

Bbde (zrywając się): Battler, na wszystko co nieoczekiwane!

Battler (równie zdziwiony): Bombardone, na wszystko co ukryte!

Bbde: Myślałeś, że mi się możesz wymknąć, eh?

Battler: Czyhałeś na mnie, lisie!

Bbde (siadając): Niegodne, Erneście. Niegodne.

Battler: Prawda, Bardo. Przepraszam (bierze krzesło i wchodzi na podium po prawej stronie Sędziego, który ma teraz dyktatorów po obydwu stronach). Za pańskim pozwoleniem (siada).

Sędzia: Dziękuję, panie Battler, za usłuchanie wezwania sądu.

Battler: Posłuszeństwo nie jest tu dobrym słowem, Sir.

Sędzia: Pan usłuchał. Pan jest tu. Dlaczego?

Battler: Tego właśnie chciałem się dowiedzieć. Dlaczego jesteś tu, Bardo?

Bbde: Ja jestem wszędzie.

Narzeczony: (gwałtownie) Ha ha! Ha ha ha! Diabelnie komiczne!

Sędzia: Proszę publiczność o nieuśmiechanie się.

Nowoprzybyły: (który nie ma poczucia humoru) Uśmiechanie się! On się nie uśmiechał: on się po prostu śmiał. Przy całym moim szacunku dla pana uważam, że my tu tracimy czas mówiąc o nonsensach. Jak człowiek może być wszędzie? Ten drugi pan mówi, że przybył tu aby się dowiedzieć po co tu przybył. To nie ma sensu. Ci dwaj panowie są kojący.

Bbde: Przepraszam. Co to znaczy „kojący"?

Nowoprzybyły: Zwariowani, jeśli pan chce wprost: wariaci.

Bbde: Jak widzę, należy pan do klasy niższej.

Nowoprzybyły: A kim jest pan, mówiący o klasie niższej? Czy nie wie pan, że demokracja skończyła z tym wszystkim?

Bbde: Przeciwnie, przyjacielu, demokracja nadała temu prawdziwe znaczenie po raz pierwszy. Demokracja rzuciła nas obu na tę samą wagę. Pana szala poszła do góry, moja obniżyła się. I nic nie obniży pana szali dopóki ja jestem na drugiej. Demokracja uwolniła pana od praw księdza i króla, obszarnika i kapitalisty tylko po to, by poddać pana prawu ciążenia osobistego. Grawitacja osobista jest prawem przyrody. Nie może pan odciąć jej głowy.

Nowoprzybyły: Demokracja może panu ściąć głowę. Demokracja brytyjska ścinała dawniej tęższe głowy.

Bbde: Nigdy. Plutokracja ścinała głowy królów i arcybiskupów, aby się wywyższyć i okradać ludzi bez interwencji króla, czy księdza. Lecz ludzie zawsze idą za swym urodzonym wodzem. Gdy nie ma wodza, króla, księdza ani sądownictwa ustanowionego przez zmarłych królów i księży — jest prawo motłochu, prawo lynczu, prawo gangsterskie: krótko — demokracja amerykańska. Dzięki pańskim gwiazdom nie znał pan nigdy demokracji w Anglii. Ja uratowałem mój kraj od tego wszystkiego mym przewodnictwem. Jestem instytucją demokratyczną.

Nowoprzybyły: Pan demokratą?! Pan zniszczył demokrację!

Bbde: Niech pan urządzi plebiscyt. Jeśli zbiorę mniej niż 95 proc. głosów narodu dojrzałego — ustąpię. Jeżeli to nie jest demokracja, to co jest demokracją?

Nowoprzybyły: To nie jest demokracja brytyjska.

Battler: Demokracja brytyjska to kłamstwo. Ja to mówię.

Nowoprzybyły: Nie mów głupstw, ty nieświadomy cudzoziemcze. Plebiscyty są nieangielskie, zupełnie nieangielskie.

Sir O.: Czy mogę zaryzykować pewną uwagę?

Battler: Kim jesteś?

Sir O.: Tylko skromnym Anglikiem, przysłuchującym się z największym szacunkiem waszej mądrej i zajmującej rozmowie. Oficjalnie jestem Ministrem Spraw Zagranicznych.

Obydwaj Przywódcy wstają i oddają pozdrowienie faszystowskie. Sir O. siedzi nadal lecz macha ręką łaskawie.

Bbde: Muszę, wyjaśnić sądowi, że Anglia nie ma już znaczenia. Ja dyktuję jej politykę od lat (siada).

Battler: Ja drwiłem sobie z Anglii przy każdej kwestii spornej, jaka powstawała między nami. Europa patrzy na mnie, nie na Anglię (również siada).

Sir O.: Pan przyciąga uwagę, panie Battler. Pan z pewnością zwraca uwagę. A pan, Signor Bombardone, może dyktować nam politykę tak długo, jak to będzie dla nas korzystne. Lecz rzecz w tym, że nie znamy wcale pana triumfów w Anglii. Słucham pańskiego opowiadania o nich z pełnym upodobaniem i — spodziewam się, że nie weźmie mi pan tego za złe — z pewnym rozbawieniem. Lecz muszę pana ostrzec, że jeśli te triumfy doprowadzą pana kiedykolwiek do podjęcia kroków przeciwnych interesom Imperium Brytyjskiego, będziemy musieli przejść nagle od triumfów do czynów; fakty mogą nie działać tak gładko jak triumfy.

Battler: Fakty nie fakty, co zrobilibyście?

Sir O.: Nie wiem.

Battler, Bbde: Pan nie wie!

Sir O.: Ja nie wiem. Ani pan, panie Battler. Ani pan, Signor.

Bbde: Czy pan ma na myśli, że ja nie wiem co pan mógłby zrobić czy też, że nie wiem, co ja powinienem zrobić?

Sir O.: I to i to.

Bbde: Co ty na to, Erneście?

Battler: Bez wątpienia wiedziałbym co zrobić.

Sir O.: To oznacza, że pan by wiedział co zrobić, gdyby pan wiedział co Anglia zrobi?

Battler: Ja już wiem co moglibyście zrobić. Nic. Podarłem wasz traktat pokojowy i rzuciłem wam strzępy w twarz. Nie zrobiliście nic. Zniosłem granice i podwoiłem obszar i potęgę mego państwa wbrew wam. Co zrobiliście? Nic.

Sir O.: Oczywiście, że nic nie zrobiliśmy. Nie odpowiadało nam zrobienie czegokolwiek. Sześcioletnie dziecko mogło przewidzieć, że nic nie zrobimy: więc pan pogroził nam pięścią i zawołał: „Zróbcie coś, jeśli się odważycie". Pana rodacy uważali pana za bohatera. Lecz pan wiedział, że pan jest bezpieczny i to nie zrobiło na nas wrażenia.

Bbde: Ma pan zupełną słuszność, Ekscelencjo. Szaleństwo wasze i Francji wzniosło Ernesta na szczyty ambicji politycznej. Jednak ma on węch potęgi; i ma mój przykład dla zachęty. Proszę nie lekceważyć Ernesta.

Battler: Nigdy nie ukrywałem mego podziwu dla ciebie, Bardo. Lecz masz wadę, która cię może zrujnować, jeśli jej nie pohamujesz!

Bbde: A co to jest, proszę?

Battler: Zarozumiałość. Uważasz się za jedynego wielkiego człowieka w świecie.

Bbde (spokojnie): Czy możesz wymienić większego?

O BERNARDZIE SHAW

Pozycja Bernarda Shaw w literaturze angielskiej jest właściwie bardzo dziwaczna. Pisarz ten w momencie debiutów należał do grupy młodych ludzi podnoszących gwałtowny bunt przeciw tradycji pozytywizmu. Zbierali się oni albo wokół fabiańskiego socjalizmu, albo też wokół ruchów neokatolickich (Chesterton np.). Z biegiem czasu Shaw odszedł daleko od nich, pozostał na nim jednak wyraźnie ślad secesji. W latach 90-tych minionego wieku na wyspę zaczęły docierać hasła nowej nietscheańskiej moralności. Pojawił się Wilde, wzrosła popularność Swinburne'a, w malarstwie propagowano Beardsleya. Gdy czyta się „Majora Barbarę", „Człowieka i nadczłowieka" czy daleko późniejszą „Genewę" (1938), wszędzie znaleźć można jedno: pogardę dla „mieszczanina" ale mieszczanina w rozumieniu secesji. Przerażający bowiem nie jest kapitalista Undershaft, lecz jego żona, najwstrętniejszą postacią „Genewy" z pewnością nie będzie dyktator Bombardone (Mussolini), lecz przeciętna Angielka Miss Begonia Brown.

Stąd też wyszły wszystkie próby różnych krytyków usiłujących umiejscowić autora „Majora Barbary" między następcami nietscheanizmu. Hipotezy te aczkolwiek nie pozbawione zupełnie słuszności, wydają mi się nazbyt pośpiesznymi. Któż bowiem lepiej niż Shaw zdemaskował pozaspołeczny pozornie wzór proroka Zaratustry? Kto wykrył „nadczłowieczeństwo" w wielkim kapitaliźmie, kto madrzej rozwiał urok imperializmu, jego technikę i jego atrakcyjność dla młodych mieszczan? Kto wreszcie dał nam dokładniejszy portret przemian, jakie dokonywały się w latach secesji?

L. B.

Battler: Są rywale w Rosji, Arabii, Iranie.

Bbde: I jest Ernest Wielki. Dlaczego go pominąć?

Battler: Zobaczymy. To historia, nie ja, musi rozstrzygnąć pierwszeństwo.

Sędzia: Pozostawmy wszystkie sprawy osobiste, panowie. Pozwólcie, że przypomnę wam ważną sprawę, poruszoną przez Sir Midlandera.

Sir O.: Co to było, Mylordzie?

Sędzia: Gdy dyskutowaliście nad tym co kraj zrobiłby w wypadku konfliktu interesów, powiedział pan szczerze, że nie wie pan.

Sir O.: Nie wiem.

Battler: I pan nazywa siebie mężem stanu!

Sir O.: O, zapewniam pana, że nie. Słowo to jest mało używane w Anglii. Jestem członkiem Gabinetu i, na mój skromny amatorski sposób — dyplomatą. Pytając mnie co się wydarzy jeśli interesy brytyjskie będą poważnie zagrożone, żądacie ode mnie bym przeprawiał się przez strumień zanim doń dojdziemy. Tego nie robimy w Anglii nigdy. Lecz gdy dochodzimy do strumyka, przeprawiamy się, przerzucamy mostek lub wysuszamy go. A gdy to jest zrobione — za późno już myśleć o tym. Przekonaliśmy się, że możemy posuwać się naprzód nie myśląc. Widzi pan, myślenie jest mało użyteczne, jeśli się nie zna faktów. A my nigdy nie znamy wydarzeń politycznych wcześniej niż po 20 latach. A czasem po 150.

Sędzia: Jednak, Sir Midlander, wie pan, że taka czynność jak myślenie istnieje.

Sir O.: Pan mnie niepokoi, Mylordzie. Bardzo niechętnie porzucam poczucie rzeczywistości dla myślenia. To jest niebezpieczne. To nie jest angielskie. To prowadzi do teorii, do polityki teoretycznej, do snów i wizji. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, to myślę, że moje położenie jest lepsze, niż pozycja dwóch znakomitych przywódców, którzy zaszczycają to zebranie swoją obecnością. Ich uwagi są bardzo zajmujące, każde zdanie jest docinkiem. Ja, który jestem tylko głupim Anglikiem, czuję się po prostu zawstydzony moją banalnością. Lecz, jeśli mnie pytacie, jakie są ich intencje, muszę szczerze odpowiedzieć, że nie wiem. Lecz oni wiedzą czego spodziewać się po nas. My po prostu będziemy trwać przy naszym ukochanym Imperium Brytyjskim i podejmiemy starania większe od tych jakie Opatrzność może nam nakazać. Tymczasem czulibyśmy się źle, gdyby jakieś Mocarstwo lub zespół Mocarstw usiłowały nas przewyższyć wojskowo. Ostrzegam was — proszę was — nie straszcie nas. Jesteśmy prostym ludem, o dobrych zamiarach, łatwym do nastraszenia. A gdy jesteśmy wystraszeni, jesteśmy zdolni do wszystkiego, nawet do rzeczy, których potem nie staramy się zapamiętać. Nie doprowadzajcie nas do tego. Bierzcie nas takimi, jakimi jesteśmy. Wybaczcie mi moją małą nudną mowę. Nie powinienem wam zabierać więcej czasu.

Battler: Macchiavelli!

Bbde: Bardzo przebiegła mowa. Lecz nie oszuka nas.

Sędzia: Oszukała was obu. Jest to bardzo uczciwa mowa wygłoszona przez bardzo uczciwego gentlemana; a wy obydwaj bierzecie ją za przejaw hipokryzji brytyjskiej.

Begonia: Przeklęte zuchwalstwo. Nie będę tu siedziała i słuchała jak obrażają mój kraj.

Narzeczony: Słuchajcie, słuchajcie! Górą Camberwell!

Battler: Co on chce przez to powiedzieć? Co to jest Camberwell?

Begonia: Oh, on nie wie co to jest Camberwell!

Sekretarz: Camberwell, panie Battler, jest to część Londynu, nie wyróżniająca się niczym od innych części Londynu, oprócz tego, że leży na południowym brzegu Tamizy, a nie na północnym.

Begonia: Co pan ma na myśli, mówiąc „nie wyróżniająca się"? Nie jest tak wytworna jak Mayfair; ale jednak jest lepsza niż Peckham.

Bbde: Proszę wybaczyć moją ignorancję: ale co to jest Peckham?

Begonia: Oh, on nie wie co to jest Peckham! Ci ludzie nic nie wiedzą.

Sekretarz: Peckham jest to inna część Londynu, przyległa do Camberwell i niczym nie odróżniająca się od niego.

Begonia: Nie wierzcie mu, panowie. Ludzie w Camberwell są kwiatem społeczeństwa południowo-londyńskiego. Ludzie w Peckham to niższa klasa średnia; to są szumowiny.

Battler: Oklaskuję pani patriotyzm lokalny, młoda damo. Lecz nalegam by mi odpowiedziano na me pytanie. Co to znaczy „Górą Camberwell"?

Sędzia: Sądzę, że jest to południowo-londyński równoważnik: „Heil Battler!"

Bbde: Ha ha ha! Ha ha! Dobrze...

Tłum. **K. Warszawska**

Hanna Mirecka

PROBLEM MAS CHŁOPSKICH WE WŁOSZECH

(Od własnego korespondenta)

Rzym, 20 marca 1948 r.

Sto lat upływa od Wiosny Ludów. Sto lat od chwili, kiedy na ulicach Francji, Belgii, Węgier, Rumunii i Włoch toczyły się walki o demokrację i wolność, kiedy lała się krew robotników o zdobycie należnych im praw.

W tym pamiętnym roku 1848 w marcu Lombardia postanowiła zrzucić jarzmo austriackie i w ciągu słynnych „Pięciu Dni Mediolanu" (od 18 do 22 marca), wypędziła z miasta przeważające i o wiele lepiej uzbrojone wojska pod dowództwem generała austriackiego marszałka Radetzkiego. Była to walka o niepodległość, a rozpaliła się od południa do północy Włoch. Dwie partie brały udział w Lombardii w walce o uwolnienie od rządu Habsburgów: liberałowie o tendencjach monarchistycznych i republikanie. Drugim celem i etapem tych partii było zjednoczenie całego kraju, rozbitego na małe państewka, pod panowaniem różnych obcych monarchii.

W tych wielkich dniach walk wolnościowych we Włoszech „Legion Polski Adama Mickiewicza" przybył z Rzymu do Mediolanu pomóc pokonać wspólnego wroga, Austrię. Mickiewicz, wierny słowom wypowiedzianym w Rzymie: **„skończył się czas demonstracji, należy zacząć działać"**, odpowiedział czynem na wezwanie Rewolucyjnego Rządu Tymczasowego w Mediolanie, który zwrócił się do Polaków z apelem: „Szlachetni Polacy, bracia nasi w przeciwnościach i nadziejach! Przybądźcie, przybądźcie, żeby przekonać się wśród nas i w naszych objęciach, że choć późno, jednak nadchodzi dzień, w którym powstają uciśnione narody i odradzają się w czystej atmosferze swobody. Przybywajcie, walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi".

Mickiewicz nie zawiódł, przybył ze swą grupą bojowników o wolność. Wszystkie miasta przyjęły go tak, jak — pisał w jednym z listów — „żaden monarcha nie był przyjmowany".

Niestety w całym tym okresie walk wolnościowych we Włoszech klasa chłopska jako zwarta masa nie brała udziału. Odsunięta na margines społecznego i politycznego życia, poza poszczególnymi jednostkami, zachowała się biernie. Pomimo wiatru, który wiał z rewolucyjnej Francji, pragnień Mazziniego i Garibaldiego przeprowadzenia reform, które zmieniłyby los wsi, warunki życia chłopstwa, szczególnie na południu Włoch, oraz na Sycylii i Sardynii pozostały takie same.

Po zjednoczeniu Italii w 1870 roku przez Garibaldiego sytuacja mas chłopskich w najbardziej upośledzonych południowych dzielnicach nie zmieniła się. Ogromne latyfundia rozpościerające się od Lacjum na południe, na Sardynii i Sycylii, w posiadaniu obszarników, leżały odłogiem lub służyły jako teren polowania. Bezrolne chłopstwo, wyzyskiwane przez wielkich posiadaczy, dziesiątkowane przez malarię, gnębione nędzą jeszcze do niedawna biernie znosiło swój los. Pomimo obowiązkowej oświaty istniał duży odsetek analfabetów i przesądy zakorzenione i utrzymywane przez tamtejszych magnatów i przez kler, przyczyniały się, że ten stan bezwładu i poddania się trwał. Pirandello w cyklu nowel o Sycylii, opisał nędzę i głód chłopów pracujących w tamtejszych kopalniach siarki. Pomimo prawa zabraniającego, zatrudniania małoletnich, małe dzieci pracowały, nosząc wielkie bryły siarki, wskutek czego bardzo często następowało skrzywienie kręgosłupa lub kalectwa. Gruźlica też zbierała tutaj obfite żniwo. Panująca bieda zmuszała bezrolnych chłopów do posyłania dzieci do kopalń siarki.

Warstwa obszarników do walki w obronie swoich interesów posługiwała się różnymi metodami. Słynna **„Mafia"** sycylijska była na ich żołdzie i na ich rozkazy, co przetrwało do dnia dzisiejszego. Terror, morderstwa, groźby są środkami, za pomocą których rządzą obszarnicy przy udziale **„Mafii"**. Zabójstwa działaczy ludowych, uświadomionych i aktywnych chłopów w ostatnich miesiącach są na porządku dziennym. Wobec zbliżających się wyborów działalność **„Mafii"** i różnych obrońców obszarników wzmogła się. W obecnej chwili, tak jak przed stu laty, Włochy stoją przed wielkim przełomem z tą różnicą, że przed wiekiem Italia walczyła, o zrzucenie obcego jarzma i zjednoczenie kraju, a dzisiaj walczy o odbudowę państwa na nowych podstawach ekonomicznych, socjalnych i politycznych.

Problem **reformy rolnej** jest teraz zagadnieniem równie palącym jak w innych państwach, mimo, że Włochy nie są krajem wybitnie rolniczym, a przemysłowym i turystycznym. Nędza mas wiejskich zaczynająca się od Lacjum, czyli od Rzymu i rozszerzająca się na Sycylię i Sardynię, jest przyczyną, która musi zmienić ten stan rzeczy, trwający od wieków.

Istnieją jeszcze dziś takie potworności, że trudno w nie uwierzyć. Na południe od Neapolu, w prowincji Basilikacie znajdują się rodziny chłopskie, które od dziesiątków lat żyją, mieszkają i umierają w grotach, jak troglodyci. Nie mają one sił ani wiary do walki o zdobycie innych warunków bytu. Tysiące bezrolnych chłopów żyje w nędzy koło samego Wiecznego Miasta, pomimo, że setki hektarów ziemi, należącej do magnatów są zaniedbane i nieuprawione. Przed kilkoma miesiącami bezrolni chłopi z okolic Rzymu zajęli te tereny, a rząd wysłał policję, żeby usunąć ich siłą. Doszło do krwawego starcia, lecz jednolita postawa chłopów, zmusiła rząd do złagodzenia konfliktu. Robotnicy rzymscy strajkiem poparli słuszne żądania bezrolnych. Ziemia została w posiadaniu chłopów.

Stopniowo dzięki akcji stronnictw lewicowych budzi się wśród klasy chłopskiej uświadomienie i coraz głębsze zrozumienie, że tylko jednolita, zwarta postawa może doprowadzić do zmiany warunków życia.

Chłopstwo południowych Włoch, Sycylii i Sardynii, dla którego dotychczas poziom i warunki w północnej części kraju wydawały się bajką, zaczyna wierzyć, że i u nich może być lepiej i można stworzyć chociażby tzw. „mezzadrie" czyli za pracę u właściciela majątku otrzymać pół zbioru; zaczyna wierzyć, że tak jak na północy Włoch nie istnieją wielkie latyfundia i prawie nie ma bezrolnych chłopów, tak samo może być i u nich.

Podniesienie stopy życiowej i poziomu kulturalnego, osiągnięcie dobrobytu gromady wiejskiej dać może tylko reforma rolna. Rozdział wielkich, bezużytecznych latyfundiów we Włoszech zmieni wynędzniałe, wygłodniałe masy wiejskie na pełnoprawnych obywateli państwa.

W połowie kwietnia odbędą się wybory we Włoszech. Obudzone na południu, Sycylii i Sardynii, chłopstwo przedstawia wielkie niebezpieczeństwo dla panującego dotychczas porządku.

Zbliża się teraz historyczna chwila dla całego kraju. Jak przed wiekiem lud włoski walczył o wolność i zjednoczenie, tak dziś staje do walki o prawdziwie ludowy ustrój państwa; jak wówczas stanął do walki o zrzucenie obcego jarzma, tak teraz stanie do walki o uwolnienie się od kapitalizmu swojego i obcego i od obszarnictwa, które pauperyzowało i pauperyzuje szerokie masy chłopskie i robotnicze.

Listy polityczne

DLACZEGO JEDNOŚĆ?

Drogi Przyjacielu!

Zaczynam rozmyślać coraz więcej o polityce. Polityka jest najrealniejszym przejawem intencji i aktywności klas społecznych. Myśmy mówili zawsze o kulturze, filozofii, literaturze.... Dyskusje nasze miały to do siebie, że przypominały dysputy ludzi — odgrodzonych szczelnie od realiów świata. Widzieliśmy ornamenty a nie dostrzegaliśmy budowli.

Dlaczegoś nigdy nie zahaczył o problem aktualnej polityki? Dlaczegoś nie starał się umiejscowić społecznie, kulturalnie, ba, filozoficznie ludzie tej miary co Truman, Marshall, Attlee, Bevin, Bidault. Czy masz ich jedynie za fantasmagorie historii? Nie — mój drogi, oni są tym najbardziej realnym odbiciem dzisiejszego stanu społeczeństw zachodnio - europejskich, a w każdym bądź razie — ich klas posiadających.

Czy można np. zrozumieć sytuację amerykańskiej literatury, o ile nie weźmie się pod uwagę tych motywów, które skłoniły wielkich monopolistów i finansistów do zatwierdzenia planu Marshalla?

Stawiać zagadnienia polityki poza nawias myślenia — to znaczy pozbawiać się najistotniejszego elementu obrazu współczesnego życia. Nie umiem sobie wyobrazić ziemi bez światła słonecznego.

Staram się ostatnio zrozumieć pewne zmiany zachodzące u nas — a szczególnie wzbudziły we mnie refleksje zamiary połączenia się partii robotniczych.

Dlaczego właśnie dziś postawiono tę sprawę na porządku dziennym?

Niemałą zapewne rolę odegrały tu zabiegi anglo-saskich rządów o rozbicie ruchów robotniczych i wewnętrzne skłócenie klasy robotniczej. Akcja ta — w ostatnim szczególnie okresie—przybrała na sile, gdy Labour Party nie dopuściła na londyńską konferencję partii socjalistycznych — przedstawicieli państw demokracji ludowej, a stekiem kalumnii obrzuciła włoską partię socjalistyczną, dlatego tylko, że ta szczerze i otwarcie współpracuje z partią komunistyczną. Prawie równocześnie rząd angielski rozpętał nagonkę antykomunistyczną. Dlaczego właśnie dziś? Dobrze poinformowani mówią, że to na rozkaz Departamentu Stanu. Bez wątpienia. Ale też i dlatego, że coraz częściej podnoszą się głosy opozycyjne wobec proamerykańskiej polityki Attlee i Bevina i wobec samej polityki rządu amerykańskiego. Trzeba przy tym wiedzieć, że dla pewnych ludzi, pojęcie „komunista" jest tak rozciągłe, że można pod nie podłożyć nawet drobnomieszczańskiego demokratę, który broni swojej drobnej własności przed inwazją wielkiego przemysłu. Jest to pojęcie ze wszech miar pożyteczne — szczególnie dla tych, którzy stosują je w charakterze narzędzia ogłupiania ludzi.

Rząd Schumanna poszedłby zapewne w ślady swych angielskich przyjaciół, ale — niestety — K.P.F. jest zbyt silna — i mili Waszyngtonowi politycy francuscy mogą conajwyżej żądać usunięcia prof. Joliot ze stanowiska kierownika Instytutu Badań Atomowych. I to bezskutecznie.

Ale jedni i drudzy prowadzą konsekwentną politykę — pognębienia ekonomicznego klasy robotniczej i w ogóle niższych warstw społecznych. Attlee zamroził płace robotnicze — a rząd francuski przeforsował — słynny już dziś — plan Mayera, przeciwko któremu protestują nie tylko robotnicy i chłopi, (których plan obciąża wielkimi podatkami) ale i drobnomieszczaństwo — drobni kupcy i przedsiębiorcy.

Marshall, Bevin i Bidault — szafują bezustannie wielkimi słowami: demokracja, wolność, pokój — ba, mówią o prawdziwej demokracji, absolutnej wolności i pokoju. Jakim? Odpowiedź jest tak dobrze wszystkim znana, że nie trzeba jej wymieniać.

Istotę człowieka poznaje się jednak — jak słusznie stwierdza Georg Lukacs — w działaniu. Myślenie jest wtórnym refleksem działania.

A cóż jest chrakterystycznego w ich działaniu? Chciałbym znaleźć jakieś stereotypy ich postępowania. (Stereotypy to, jak wiesz zapewne, pojęcie stworzone przez amerykańskiego publicystę i socjologa — Waltera Lippmana).

W okresie wczesnego kapitalizmu istnieli ludzie, których historiografia francuska nazwała donneurs d'avis — projektodawcy. Ich zadaniem było uzdrowienie schorzałej gospodarki królów, względnie książąt — przy pomocy różnych tricków i manipulacji. Takim donneur d'avis robi Goethe Fausta w drugiej części swego dramatu. Faust stara się uzdrowić skarbowość księcia za pomocą pieniędzy papierowych. Ale finał igry finansowej jest smutny.

Czy nie takimi donneurs d'avis są politycy anglo - sascy? A czyż plan Marshalla nie jest ową różdżką czarodziejską, która winna otworzyć wrota Sezamu?

Ich machinacje mają dwa ostrza. Podtrzymać murszejący gmach ustroju kapitalistycznego i zatrzymać rozprzestrzeniającą się falę demokratyzmu.

Nie cofają się przed żadnymi metodami działania. Naśladują często Macchiavellego. Ale Macchiavelli powiedział, że kościół rujnuje narody — oni zaś kościół i Boga wprzęgli do swego wozu. Macchiavelli miał odwagę szczerego wypowiadania swych cynicznych myśli — oni swe cyniczne czyny ubierają w wysoce moralne słowa. Brak im odwagi Macchiavellego. Brak im wielkości ludzi renesansu — o których z takim podziwem wyraża się Engels. Są płodem nędzy moralnej i kulturalnej.

Ale ich ataki są niemniej groźne. Są tym groźniejsze, że dysponują Bogiem kapitalizmu — pieniądzem.

Wyobraź sobie, co uczyniliby z nas, z naszej kultury, wolności, moralności — gdybyśmy się dostali pod ich wpływy.

Przypomnij sobie okres — sprzed i z czasów wojny — gdy toczyliśmy walkę, ty — o prawa społeczne i gospodarcze chłopa, ja — klasy robotniczej, o prawa mas ludowych — tych podstawowych, najliczniejszych warstw narodu do godnego bytu społecznego.

Od tamtych lat wiele się zmieniło, ale przeciwnik pozostał ten sam — imperializm. Dziś tylko inni ludzie reprezentują jego „ideały". Ale to nie powinno nikogo łudzić.

Ja widzę w zjednoczeniu partii robotniczych wielki czyn obrony przed natarciem imperializmu.

A Ty? Wątpisz? Dlaczego?

Czy sądzisz jeszcze, że podstawą demokracji jest plastyczność jej systemu społecznego i decentralizacja? Czy sądzisz jeszcze, że wolność musi mieć charakter irracjonalny?

Nie tędy droga, przyjacielu. Gdy Diderot — jak sam pisze — szukał Boga — znalazł niewiarę. Szukając wolności metafizycznej możesz stracić wolność realną.

Przypomnę Ci słowa Saint-Simona: „Podstawą wolności jest przemysł.... Wolność może wzrastać wraz z przemysłem, tylko przez przemysł może się wzmacniać".

Problem jedności organicznej partii robotniczej jest wynikiem rzeczywistego układu sił na świecie i w kraju. (Przypomnij sobie moje słowa kreślone powyżej). Jest aktem obrony wolności narodu — realnej, samo przez się zrozumiałej. Tym bardziej, że różnice taktyczne i ideologiczne pomiędzy partiami równają się prawie zeru.

Zapytasz może — dlaczego obrano tego rodzaju metodę obrony? Mógłbym odpowiedzieć również zapytaniem: — a dlaczego „tamci" wkładają tak wiele energii w zagadnienie rozbicia ruchu robotniczego i konsolidacji ruchów demokratycznych w ogóle? Wiedzą oni dobrze, że ich najgroźniejszym przeciwnikiem jest ruch robotniczy, (który w krajach Europy Wschodniej znajduje tak silne poparcie w masach chłopskich) i nie od dziś starają się go rozczłonkować. Jedną drogą szli Azef, de Mann, dziś Jourhoux czy Carey z amerykańskiego A.F.L.

To jest sprawa jasna.

Warto, byś sobie tylko zapamiętał: — im ostrzejsze ataki imperializmu — tym bardziej zwarte, jednolite muszą być szeregi demokracji.

Jest to tak stare prawo demokracji — jak starym jest hasło klas posiadających: divide et impera.

Twój Jakub

Witold Kula

Kryzys gospodarczy Wielkiej Brytanii

ANALIZA kryzysu gospodarczego, z jakim od zakończenia wojny zmaga się Wielka Brytania to nie tylko analiza jednego z najważniejszych problemów powojennego świata — lecz także doniosły problem teoretyczny, a raczej doskonała droga do zrozumienia doniosłych problemów teoretycznych. Anglia, ten pierwszy kraj, który wszedł na drogę stworzenia cywilizacji wielkoprzemysłowej i ustroju kapitalistycznego, kraj, który jedyny dotąd w klasyczny sposób całą drogę rozwoju kapitalizmu przebył, tak jak był pouczającym przykładem i pouczającą podstawą rozumowań, dla tych, którzy kapitalizm i jego tendencje rozwojowe badali 100 lat temu, dla Marxa i Engelsa—tak samo może być podstawą dla pouczających badań i dziś. I dopiero w oświetleniu historycznym rozwoju kapitalizmu wielkoprzemysłowego możemy ten kryzys angielski, ściągający na siebie uwagę całego świata zrozumieć. Tylko tak patrząc na niego zobaczymy w nim nie zbieg przypadkowych trudności, wywołanych kosztami i ciężarami dwóch wojen światowych—lecz kryzys struk-

„Sługa i pan" — Anglia i USA, karykatura z The Saturday Revier of Literature.

turalny, będący naturalnym wynikiem dotychczasowego dwustuletniego rozwoju. Przyśpieszony i zaostrzony oczywiście przez dwie wojny światowe, lecz i bez nich nieunikniony wewnętrzny kryzys kapitalizmu.

POSTĘP W OPARCIU O EKSPORT TOWARU

Nie będę się zastanawiał nad przyczynami powstania gospodarki przemysłowej w Anglii. Faktem jest, że Anglia wyspecjalizowała się w przemyśle, czego skutkiem było uzależnienie od świata otaczającego; z jednej strony obliczanie produkcji na eksport, z drugiej uzależnienie się od importu. Już około połowy XVIII w. te dwie cechy występują wyraźnie. To uzależnienie się od handlu zagranicznego miało oczywiście szalone znaczenie dla dalszej rozbudowy wielkiego przemysłu. Stworzenie wielkiego przemysłu jest zadaniem olbrzymim, które wymaga ogromnego wysiłku. Krótko mówiąc, wysiłek ten polegać musi na daleko posuniętym oszczędzaniu, niezależnie od tego w jakiej formie będzie się ono odbywać. Kraj uprzemysławiający się musi produkować artykuły, które bezpośrednio nie zaspakajają żadnych ludzkich potrzeb: w które nie można się ubrać, nie można w nich mieszkać, rozbudowuje więc fabryki maszyn, które dopiero kiedyś z kolei będą produkowały artykuły, które będą ludzkie potrzeby pokrywać. Ten ciężar jest tak wielki, że wszystkie kraje świata starają się w jakiś sposób go przerzucić. Ważnym sposobem przerzucenia ciężaru jest eksport. Z chwilą kiedy się stwarza w jakimś kraju fabryki produkujące metodami doskonalszymi, z tą chwilą koszty produkcji i tego artykułu maleją, natomiast w kraju zacofanym te koszty są większe. Eksport do kraju technicznie zacofanego pozwala eksporterowi osiągać nadwyżki, które skolei są lokowane w dalszych inwestycjach. Taką drogą szła Anglia. Tę drogę powtórzyło wiele innych krajów, jak Polska w okresie Lubeckiego, Japonia między pierwszą a drugą wojną światową. Od początku powstania wielkiego przemysłu Anglii towarzyszy zagadnienie eksportu. Do początku XIX. w. jest to eksport artykułów przede wszystkim odzieżowych do Europy. Europa zacofana nie może konkurować, musi nabywać artykuły produkcji angielskiej produkowane taniej, co z kolei utrudniało krajom europejskim uprzemysłowienie własne, a ułatwiało dalsze inwestycje przemysłowi angielskiemu. Po wojnach napoleońskich sytuacja ulega zmianie. W okresie blokady kontynentalnej poziom techniczny na kontynencie europejskim zwłaszcza w dwóch krajach — Francji i Niemczech podnosi się i tutaj Anglia napotyka na trudności w odzyskaniu tego rynku. Z drugiej strony zbiednienie ogólne miało też swój wpływ. Odzyskuje Anglia te możliwości przez wejście w okres wielkiej ekspansji imperialnej w szerokim tego słowa znaczeniu. Z jednej strony Ameryka Płd. otwiera wielkie możliwości, z drugiej Indie, które właśnie od tego momentu zaczynają być wielkim rynkiem zbytu dla produkcji angielskiej znów z kolei utrudniając sobie inwestycje, a ułatwiając je przemysłowi angielskiemu.

Od roku 1850 mniej więcej rozpoczyna się nowy okres, nowa forma eksportu angielskiego. Do tego czasu eksportuje się jako główny artykuł wyroby tkackie. Są to artykuły konsumcyjne. Są to artykuły, których eksport w pewien sposób uzależnia narody, do których się eksportuje od narodów, które eksportują. Eksport ten powoduje, że narody, do których się eksportuje utrzymane zostają na swym zacofanym poziomie gospodarczym. Mniej więcej od r. 1850 rozpoczyna się okres inny. Na czoło eksportu zaczynają się wybijać artykuły **inwestycyjne** i za morza płynie sprzęt kolejowy, szyny, tabor. Tutaj sytuacja ulega zmianie Ten eksport, przynosząc olbrzymie zyski i ułatwiając rozbudowę przemysłu kraju eksportującego — jednocześnie dla kraju importującego ma już inne znaczenie. To nie jest import pokrywający doraźne potrzeby (np. tkaniny), to są dobra o trwałej wartości, dobra zwiększające możliwości gospodarcze miejscowe, dobra które zaczynają zacofany kraj technicznie uzbrajać. Po pewnym czasie rozwój przemysłu angielskiego zmusza Anglię do rozbudowania eksportu artykułów inwestycyjnych poza tym pierwszym artykułem, jakim były szyny i tabor kolejowy; zaczynają wchodzić w grę nowe działy—maszyny z maszynami tkackimi na czele. Gdzieś w 70-tych latach w Japonii zastosowano mechaniczne tkanie maszynami sprowadzonymi z Anglii i przy pomocy instruktorów sprowadzonych z Anglii.

EKSPORT KAPITAŁÓW

Jak się ten eksport wyrażał w formach gospodarczych?

Oczywiście kraje zacofane miały pewne trudności z nabywaniem tych artykułów niezależnie od tego czy wchodziły w grę artykuły konsumcyjne czy inwestycyjne. Otóż trzeba było tę rzecz ułatwić. I tutaj występuje Anglia już jako **potęga finansowa**, występuje jako **bankier**, który **finansuje swój własny eksport.** Anglia udziela pożyczki danemu krajowi z tym, że ta pożyczka zostaje zużyta na eksport towarów z Anglii. W praktyce płyną dane artykuły do danego kraju bez pieniędzy, bez tego, by w odwrotnym kierunku nastąpił przelew waluty, płyną z dostaw kredytowych, płyną na kredyt tkaniny, a zwłaszcza szyny, tabor kolejowy i maszyny. W ten sposób rosły angielskie lokaty na całym świecie. Gdzieś na przełomie XIX — XX w. cała kula ziemska była opasana liniami kolejowymi, należącymi do angielskich towarzystw. Wszystko to wywodziło się z tych pierwszych pożyczek, dalej coraz bardziej rozbudowywanych. Po pierwszych pożyczkach oczywiście Anglia jako eksporter uzyskiwała prawo do procentu z tych pożyczek. Jako kraj niesłychanie bogaty procenty te lokowała w dalszych inwestycjach i to było finansowaniem dalszego eksportu. W ten sposób rozpoczyna się błędne koło prowadzące do ciągłego wzrostu pozycji eksportu angielskiego i lokat angielskich zagranicą.

Tymczasem, gdzieś pod koniec wieku XIX, w złotej epoce wiktoriańskiej, następuje tu pewna zmiana. Kraje, do których Anglia dotąd eksportowała, — a były to rozmaite kraje, (z biegiem czasu tereny się zmieniały)—te kraje zostały w pewien sposób technicznie uzbrojone; miały już sieć kolejową, miały już pewne zakłady przemysłowe, w pewnej mierze już się uniezależniły od angielskiego eksportu. Stopa życiowa w Anglii w oparciu o wielkie zyski płynące z zagranicznych lokat, wzrosła bardzo. Angielska klasa robotnicza w wieloletnich walkach prowadzonych na różnych drogach (politycznej, spółdzielczej, samorzutnych ubezpieczeń itd.) też wywalczyła sobie pewien udział w angielskich zyskach z lokat zagranicznych. Jednym słowem zapotrzebowanie Anglii na import zaczyna wzrastać. Angielska produkcja żywnościowa nie wystarcza. Angielski przemysł jest rozbudowany, ale przemysł ten z wyjątkiem węgla jest pozbawiony surowców, które Anglia musi sprowadzać tak jak i artykuły konsumcyjne. A więc sytuacja ulega pewnej zmianie. Dotychczasowe zyski z lokat, które dawniej były zużywane na nowe lokaty i zwiekszały potęgę Anglii, te zyski trzeba było zacząć zużywać na co innego, na finansowanie swego importu, trzeba było nimi płacić za artykuły, które miały do Anglii spływać. Sytuacja ulega odwróceniu.

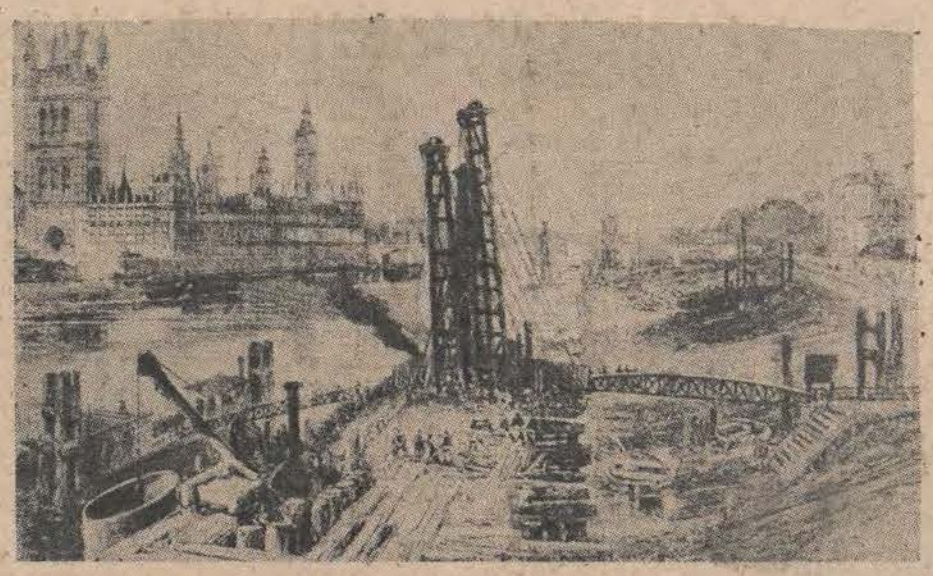

Budowa urządzeń regulacyjnych na Tamizie w okolicy dzielnicy londyńskiej Lambeth (r. 1869)

Dawniej Anglia finansowała swój eksport—teraz zaczyna finansować swój import.

W ten sposób doszło do momentu, w którym w roku 1945, po zakończeniu drugiej wojny światowej, okazało się, że wpływy z lokat zagranicznych już nie wystarczają na to, żeby pokryć koszty importu. Jak tę rzecz wytłumaczyć?

Intencją mego artykułu jest mocne podkreślenie, że przemiany, które dokonały się w wyniku, pozornie rzecz biorąc, dwóch wojen światowych i wywołały upadek potęgi angielskiej, są przemianami tylko przez te wojny przyśpieszonymi, że mamy tu do czynienia z naturalnym rozwojem kapitalistycznych form ustrojowych, z przyśpieszeniem tendencji, które występowały i w okresie przed pierwszą wojną światową i w okresie międzywojennym i tylko w wyniku obu wojen zostały spotęgowane i do ostateczności zaostrzone.

BILANS PŁATNICZY

Aby to zrozumieć, musimy uprzytomnić sobie jak się przedstawiała pozycja Anglii w świecie w okresie międzywojennym. Tę pozycję sprawdzamy na podstawie angielskiego bilansu płatniczego. W tym bilansie płatniczym bilans handlowy posiadał dla Anglii specjalne znaczenie ze względu na omówione wyżej wyjątkowe uzależnienie Anglii od importu i eksportu. Pomijając wysoką stopę życiową w oparciu o wielkie lokaty zagraniczne, musimy pamiętać, że wielki przemysł w Anglii zbudowany był w okresie, w którym o koncentracji przemysłu decydował węgiel, że ten przemysł znalazł się właściwie w położeniu bardzo dotkliwym przez konieczność sprowadzania wszystkich surowców. Podstawowym działem przemysłu angielskiego poza węglem jest tkactwo, które uzależnione jest od importu bawełny, nawet tkactwo wełniane, mimo dużej produkcji wełny w Anglii, jest uzależnione od importu. Ruda żelazna jest w ilości niewystarczającej. Kauczuku nie ma, nafty nie ma, drzewa tak potrzebnego przy papiernictwie i budownictwie nie ma. W Anglii uzależnienie od importu było duże i od bardzo dawnego czasu, od ery wiktoriańskiej, Anglia ma bilans handlowy ujemny. Większość z nas, którzy zasad polityki czy praktyki gospodarczej uczyliśmy się z publicystyki okresu międzywojennego, przywykła traktować ujemny bilans handlowy jako coś bardzo złego, a jako zjawisko dobre traktować bilans handlowy dodatni. Oczywiście, nic podobnego. Gubernia Generalna w okresie drugiej wojny światowej miała bardzo dodatni bilans handlowy, bo Niemcy wywozili ale nic nie płacili. Anglia miała bardzo ujemny bilans handlowy, bo z całego świata importowała artykuły, za które żadnym dobrem konkretnym nie płaciła. Ujemny angielski bilans handlowy był przez Anglię regulowany dwiema drogami: jedna droga to pewne formy usług. A więc usługi komunikacyjne. Anglia miała do wojny największy tonaż handlowy i wykonywała nim na terenie całego świata szereg usług, z tytułu których płynęły do Anglii należności. Tak samo Anglia wykonywała szereg usług bankierskich, z tytułu których płynęły do niej pewne odsetki od dokonanych transakcji. Była miejscem lokat, które spływały z całego świata od rozmaitych obywateli i rządów państw. Te usługi nazywane są niewidzialnym eksportem. To jest jeden sposób pokrycia deficytu. Drugi sposób, ważniejszy jeszcze, to były ciągle jeszcze istniejące potężne należności z tytułu zysków, z tytułu lokat angielskich rozsianych po całej kuli ziemskiej, zysków z owych kolei, którymi kiedyś Anglia opasała świat, z tytułu posiadania przedsiębiorstw przemysłowych, z kopalń w Boliwii, plantacji bananowych i kawowych w Ameryce Środkowej, plantacji kauczuku na Malajach, nafty irackiej itd. itd. Otóż z tych tytułów płynęły należności, co pozwalało w sumie nie tylko pokrywać deficyt bilansu handlowego ale pozostawiało ciągle nadwyżki.

O ile pierwsza wojna światowa spowodowała tutaj pewne zachwianie i St. Zjednoczone z kraju zadłużonego u Anglii stały się potężnym wierzycielem — to druga wojna światowa spowodowała katastrofalne zmiany; Anglia skolei, z kraju, który był wielkim wierzycielem świata, stała się niemal dłużnikiem. Już po pierwszej wojnie światowej Anglia postanowiła po raz pierwszy postarać się ograniczyć swoją zależność od świata leżącego poza imperium — dla przykładu: o ile Anglia żywiła się nabiałem duńskim i holenderskim — to po pierwszej wojnie światowej postanowiła przenieść swoją oborę do dominiów i sprowadzać nabiał z Australii i Nowej Zelandii. Dzięki rozwojowi przemysłu elektrotechnicznego, który pozwolił przewozić te artykuły przez równik, technicznie można to było bez trudów wykonać. Po drugiej wojnie światowej Anglia stoi na innym stanowisku. Myśli nie o dominiach, gospodarczo lepiej od niej stojących i szukających dla swych wyrobów zbytu u bogatszych odbiorców, lecz myśli o zwiększeniu eksploatacji zacofanych gospodarczo i słabych kolonii afrykańskich.

JAK ANGLIA SFINANSOWAŁA WOJNĘ?

Dla zrozumienia dzisiejszej sytuacji gospodarczej Wielkiej Brytanii — wielkie znaczenie ma poznanie sposobów, jakie zastosowała ona dla podołania olbrzymim ciężarom drugiej wojny światowej. Z grubsza rzecz biorąc wchodziło tu w grę pięć metod. Na pierwszym miejscu wymienić należy ustawę dzierżawno-pożyczkową, w wyniku której Anglia uzyskała szereg dostaw z Ameryki, które to wierzytelności zostały po zwycięstwie przekreślone, a były zapłacone tylko szeregiem uprawnień w zakresie posiadłości zamorskich Anglii. Druga metoda to wielkie oszczędności w zakresie konsumcji — 6-letnia konsumcja odzieży w Anglii w okresie wojny równała się — 4-letniej przedwojennej, sprzętu domowego — 3-letniej. Ale znacznie ważniejszą rolę odegrały trzy inne źródła finansowania:

1) Kredyt. Wiele państw uzależnionych od Anglii było w pewnej formie zmuszonych do tego, aby dostarczać jej artykuły potrzebne na kredyt, na kredyt do zwycięstwa. Liczono na to zwycięstwo i na to, że po zwycięstwie Anglia się z tych długów uiści. W ten sposób nastąpił wielki przełom. Indie, Egipt, które należały do tych krajów, do których przez dziesiątki lat płynęły angielskie kapitały, które więc były zdawałoby się beznadziejnie u Anglii zadłużone, te dwa kraje stały się naraz angielskim wierzycielem i rozporządzają wielkimi zamrożonymi kontami w Anglii, których nie mogą uruchomić, bo Anglia nie ma czym zapłacić. Poprzedni minister skarbu Dalton wyraził się nawet, że właściwie tytuł tych długów jest wątpliwy i należałoby rozpatrzeć jeszcze raz tę sprawę, ponieważ były one wkładem do wspólnej sprawy zwycięstwa i że Anglia wniosła do niej swój udział niemały, bo udział krwi. Dodajmy, nawiasem, że jest to rozumowanie, którym po zeszłej wojnie posługiwała się zacofana wówczas gospodarczo Rosja, gdy mówiła, że swoje pożyczki angielskie i francuskie spłaciła nad Jeziorami Mazurskimi, a więc spłaciła swoim udziałem w wojnie przez związanie wielkich mas armii niemieckiej, co uratowało ówczesny front na Zachodzie. Dziś sytuacja się odwróciła i tych argumentów musi używać kraj najbardziej uprzemysłowiony, do niedawna pierwsza potęga świata.

2) Wyzbycie się dużej części swego stanu posiadania, rezygnacja z olbrzymich lokat na świecie. W każdym razie z górą połowy lokat wyzbyła się Anglia, oczywiście na rzecz Ameryki, tak na rzecz prywatnych posiadaczy amerykańskich, jak i Ameryki jako państwa, w pewnej mierze państw Ameryki Płd. a wśród nich przede wszystkim Argentyny. Anglia zapłaciła swoimi lokatami, czyli formalnie biorąc gospodarczo, ale w ślad za tym i politycznie.

Poza kredytem i wyzbyciem się tytułu posiadania, ostatnie źródło to:

3) Olbrzymi wzrost produkcji w okresie wojennym, wywołany pełnym wykorzystaniem możliwości produkcyjnych. Wiemy, że ustrój kapitalistyczny nigdy nie wykorzystuje wszystkich możliwości produkcyjnych. Zawsze są pewne zakłady przemysłowe nieczynne, zawsze jest pewne choćby nieznaczne bezrobocie. W okresach złej koniunktury siły bezczynne rosną. Okres wojenny w Anglii spowodował pełne wykorzystanie wszystkich możliwości produkcyjnych, w wyniku czego produkcja wzrosła w olbrzymim stopniu. Oczywiście ta produkcja wzrosła przecież kosztem pewnych metod dewastacyjnych, co jest zresztą charakterystyczne dla wszystkich państw w okresach wojennych.

(c. d. n.)

Jan Szczepański

CO TO JEST KULTURA?*)

Szukając odpowiedzi na tak ważne pytanie, musimy zacząć od prostego stwierdzenia, że wyraz kultura posiada całe bogactwo znaczeń, z którymi trzeba się jakoś uporać, zanim przejdziemy do szczegółowych rozważań.

Gdybyśmy zajrzeli do słownika wyrazów obcych, to znaleźlibyśmy tam notatkę, że wyraz kultura jest wyrazem łacińskim, używanym z dodatkiem agri, a więc, że cultura agri, znaczy tyle co ulepszona uprawa roli, uprawianie i hodowanie roślin dostarczających pożywienia. Stąd przeniesiony do innych dziedzin życia ludzkiego około 1700 r., wyraz kultura zaczął oznaczać uszlachetnianie człowieka przez rozwijanie obyczajów, moralności, sztuki i nauki. W ten sposób powstało pewne przeciwstawienie człowieka kulturalnego t. zn. człowieka posiadającego pewne sposoby działania uznawane za moralne, pewien zasób wiadomości, znajomości sztuki i t. p., od człowieka bez kultury, prostaka. W tym znaczeniu wyraz kultura ma pewien wydźwięk oceny; kultura jest czymś dobrym — brak kultury jest czymś złym.

Jednocześnie w rolnictwie i leśnictwie ciągle wyraz kultura posiada swoje pierwotne znaczenie. Mówi się o kulturach łąkowych, leśnych itp., ogólnie mówiąc o różnych rodzajach użytkowania ziemi. W bakteriologii też spotykamy wyraz kultura dla oznaczenia hodowli bakterii na określonych pożywkach.

My jednak będziemy mieli na myśli tylko to jedno znaczenie, gdzie wyraz kultura odnosi się do życia człowieka. I w tej dziedzinie słyszymy często w użyciu codziennym, wyraz kultura w różnych kontekstach. Istnieje Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury w Zarządzie Miejskim, słyszymy ciągle takie zwroty jak: kultura religijna, kultura muzyczna, kultura plastyczna, kultura naukowa, a nawet kultura sportowa czy kultura seksualna. Mówi się o ludziach wielkiej kultury i ludziach bez kultury; słyszymy często takie zwroty jak kultura ogólnoludzka, kultura narodowa, kultura klasowa, kultura miejska, kultura ludowa i t.p. O co tu chodzi? O czym tu mowa? Czy zawsze o jednym i tym samym? Czy możliwe jest takie zdefiniowanie kultury, która objęłaby wszystkie te różnorodne zjawiska przed chwilą wymienione?

Istnieje pewne potoczne rozumienie kultury, jako pewnej miary doskonałości w pewnym zakresie działania i odczuwania. Lecz naogół, potocznie przez kulturę rozumie się tylko t. zw. wyższe dziedziny twórczości człowieka t. j. naukę, sztukę, religię, literaturę. Takie właśnie rozumienie miano na uwadze, przydzielając Ministerstwu Kultury opiekę nad sprawami literatury, plastyki, teatru, muzyki. W kronikach prasowych poświęconych życiu kulturalnemu znajdziemy notatki o zebraniach dyskusyjnych, odczytach, koncertach, wystawach, bibliotekach, czasopismach, szkołach, kursach, świetlicach.

Powstająca nauka o kulturze, a przede wszystkim etnologia i socjologiczna teoria kultury — ujęły zagadnienie kultury zupełnie inaczej. Z punktu widzenia naukowego zaliczamy do kultury wszelką świadomą działalność człowieka i wszystko to, z czym się wiąże jego celowy i twórczy wysiłek. Według naukowego ujęcia do kultury należy nie tylko obraz Rubensa, czy rzeźba Michała Anioła, katedra gotycka, czy symfonia Beethovena, lecz również każde narzędzie pracy, każdy sprzęt domowy i każdy sposób postępowania wobec innych ludzi, który jest społecznie ustalony n. p. sposób powitania, sposób wytwarzania dóbr, sposób wymiany, sposób wychowywania i t. p.

Filozofowie zajmujący się zagadnieniami kultury skłonni byli do metafizycznych koncepcyj, pozostających najczęściej pod wpływem Hegla, ujmując kulturę jako swoisty rodzaj bytu, jako „obiektywnego ducha", rozwijającego się mocą swoistych praw, niezależnego od człowieka i jego usiłowań. Wspominam tu o tym poglądzie spotykanym dosyć często w publicystyce filozofującej, tylko dla podkreślenia jego przeciwstawności wobec podejścia empirycznego do zagadnienia kultury. Jedno tylko rozróżnienie wprowadzone przez filozofów jest słuszne, mianowicie przeciwstawienie kultury przyrodzie. W ten sposób cały świat, w którym człowiek żyje, zostaje podzielony na dwie części: 1) przyrodę, t.j. te wszystkie przedmioty, zjawiska i procesy, które trwają lub zachodzą bez ingerencji człowieka, a więc zjawiska fizykalne, biologiczne, chemiczne i 2) kulturę t.j. wszystkie zjawiska, procesy i przedmioty związane ze świadomym działaniem człowieka. Do świata kultury należy zatem każdy taki przedmiot czy takie działanie, które posiada dla ludzi jakąś doniosłość, jakieś znaczenie, jakąś wartość dlatego, że tkwi w nim jakaś ilość pracy, wysiłek twórczy człowieka. Np. drzewo rosnące w lesie należy do świata przyrody, lecz gdy zostaje ścięte i przerobione na deski, a deski na ławę, wchodzi do świata kultury; jeszcze jeden przykład: procesy fizjologiczne zachodzące w systemie nerwowym człowieka są zjawiskami przyrodniczymi, lecz myśli i uczucia, które powstają wskutek tych procesów i które zostają przez człowieka wyrażone — wchodzą już do kultury. Lecz tu musimy dodać jeszcze jeden warunek: wytwór ten lub działalność musza być **zobiektywizowane**, t. zn. muszą być dostępne poznaniu i ocenie innych ludzi. Jeżeli poeta ma w głowie ułożony wiersz, to wiersz ten wejdzie w skład kultury dopiero wtedy, gdy zostanie napisany i może być przeczytany i zrozumiany przez innych ludzi. Zobiektywizowany jest ten przedmiot lub czyn, który jest obiektywnie utrwalony i może być przez pewną zbiorowość ludzką uznany jako posiadający pewną wartość, czyli inaczej mówiąc, który jest wytworem społecznym. Zatem kultura jest to zespół działań ludzkich, i wytworów działania, które są społecznie ważne.

W tym znaczeniu kultura obejmuje olbrzymi zakres bardzo różnorodnych zjawisk i przedmiotów; ażeby zatem móc zorientować się w tej dziedzinie, należało ją podzielić na pewne działy. I tak wymienimy niektóre zwarte systemy kulturowe, stanowiące część składową systemu kultury.

Utarł się, zwłaszcza w filozofii i nauce niemieckiej podział całości kultury na dwa działy zasadnicze, na kulturę duchową, czyli kulturę we właściwym, węższym znaczeniu tego słowa i na kulturę materialną czyli cywilizację. Podział ten związany jest z wyraźną oceną. Kultura mianowicie obejmuje pewne wyższe wartości duchowe, cywilizacja ma do czynienia z zaspakajaniem przyziemnych potrzeb człowieka. Do kultury zalicza się tu religię, naukę, sztukę, do cywilizacji — technikę, życie gospodarcze i ich wytwory. Podział ten bywa uzasadniany w ten sposób, że do kultury należą wytwory pracy twórczej umysłu, zaspakajające wyższe potrzeby wewnętrzne człowieka, jego dążenia do prawdy, dobra i piękna, a kultura materialna składa się z wytworów pracy fizycznej, zaspakajających potrzeby biologiczne (pokarm, odzienie, mieszkanie).

Czy podział ten jest słuszny? Możemy powiedzieć odrazu — podział ten jest zupełnie nieuzasadniony. Niema bowiem wytworu pracy fizycznej, z którym by się nie wiązała jakaś myśl twórcza, czy chociażby najelementarniejsza praca umysłowa. Nawet zebranie w polu kamieni i ułożenie ich w mur dookoła pola, czy wysypanie ich na drogę polną, angażuje cały zespół myśli i wyobrażeń o celu tej pracy. A poza tym przedmioty takie, jak meble, ubrania, domy, pominąwszy, że mogą być równocześnie dziełami sztuki, wymagają dla wytworzenia ich, wielkich nieraz wysiłków pracy umysłowej. I nie ma wytworu, który by był tylko dziełem umysłu, bo w takim razie nie byłby wytworem zobiektywizowanym. Każdy wytwór działalności musi być związany z czymś materialnym, aby mógł się zobiektywizować, t.zn. aby mógł być przez innych postrzegany, rozumiany, aby mógł w innych ludziach wywoływać uczucia i myśli. W każdym zatem wytworze kultury są z sobą nierozłącznie sprzężone: strona materialna i strona duchowa. Książka, obraz, rzeźba to są przedmioty materialne wyposażone w pewne znaczenia, — a nawet symfonia musi być napisana w nutach i przykazania religii wyryte w kamiennych tablicach, zanim będą mogły wzruszać i pobudzać umysły ludzi do przeżyć wzniosłych. Bez związku ze światem materialnym kultura duchowa nie mogłaby istnieć. Odrzucamy zatem podział na kulturę materialną i duchową.

Istnieją jednakże jeszcze inne sposoby dzielenia kultury na części zwarte i dorzeczne. Wyróżniamy takie systemy jak: religię, naukę, sztukę, prawo, technikę, gospodarkę, państwo, moralność, zwyczaje. Każda z tych dziedzin stanowi mniej lub więcej zwartą całość. Nie znaczy to jednak, że są to dziedziny autonomiczne i od siebie niezależne. Kultura stanowi całość powiązaną funkcjonalnie i strukturalnie. Badanie kultur prymitywnych, jak i badanie kultury europejskiej, wykazuje jasno, że istnieje współzależność między różnymi dziedzinami kultury. W społeczeństwach pierwotnych, jak to najlepiej wykazał Malinowski w swoich badaniach etnologicznych, obrzędy magiczne i religijne są związane z techniką uprawy roli i rybołówstwa, formami więzi społecznej i ustrojem rodziny.

Uświadomienie sobie tej zależności pomiędzy różnymi dziedzinami kultury, ma swoje ważne następstwa w próbach jej celowego kształtowania. Nie wystarczy rozbudować uniwersytety i szkolnictwo, aby podnieść poziom kultury jakiegoś narodu, jeżeli równolegle nie idzie rozwój techniki i gospodarki. Przykładem były n.p. w Polsce szkoły rolnicze, które dawały wiedzę o postępowym gospodarowaniu, których wychowankowie jednak, nie mieli ani środków ani społecznej możliwości zamienienia swej wiedzy w czyn. Polska miała przed wojną najbardziej postępowo rozbudowane prawodawstwo opieki nad dzieckiem, które nie funkcjonowało w życiu narodu, gdyż na to nie pozwalał zacofany stan innych dziedzin kultury.

Następną cechą kultury jest jej dynamiczność. Zmienia się ona i rozwija, przeżywa okresy zastoju, rozwoju i upadku. Historia wskazuje nam dzieje różnych kultur Wschodu, Afryki, Ameryki (Persji, Egiptu, Azteków, Inków, Grecji, Rzymu). Nie będę tu wchodził w niezmiernie liczne teorie, które starają się wytłumaczyć te zjawiska. Najczęściej jednak, przyczyną upadku kultury jest zachwianie się jej równowagi, przez zastój w jednej dziedzinie. Wyczerpanie gleby, zastój gospodarczy, wyczerpanie siły politycznej w stosunku do sąsiadów, powodują uleganie podbojom, czy zniszczeniu ze strony innych społeczeństw i kultur. Jeżeli chodzi o wskazanie czynników i warunków rozwoju kultury, to bogactwo, różnych teoryj wzajemnie się wykluczających jest bardzo wielkie. Mówiąc krótko i najogólniej — są dwa zasadnicze czynniki rozwoju kultury: tworzywo, z którego człowiek wykonuje swoje dzieła i możność podjęcia twórczego wysiłku. Przez „możność" rozumiem tu zarówno zespół czynników osobistych człowieka, zespół cech jego osobowości t.j. jego zdolności, umiejętności i zespół czynników środowiskowych wyznaczających te cechy psychiczne. Inaczej mówiąc czynniki rozwoju kultury to czynniki wyznaczające czynność człowieka i poziom wykonywania tej czynności. T.zw. wyższa kultura, t.zn. czynności i wytwory służące zaspokojeniu pewnych sublimowanych potrzeb, mogą się zjawić tylko tam, gdzie człowiekowi pozostaje pewien nadmiar energii, czasu, tworzywa, nie wyczerpanych w walce o zaspokojenie elementarnych potrzeb życiowych. Niema mowy o wyższej kulturze tam, gdzie cała energia, czas i zapasy człowieka służą wyłącznie zabezpieczeniu samego życia.

Jeżeli zatem w obecnych czasach rzuca się hasło planowania kultury, to należy je przede wszystkim rozumieć jako dążenie do stworzenia wszystkim ludziom takich warunków egzystencji, które dadzą im „możność" podjęcia twórczych wysiłków i rozwinięcia zainteresowań poza ich staraniem o chleb powszedni. Pamiętać przy tym trzeba o strukturalnym powiązaniu całej kultury, sprawiającym, że niema mowy o rozwoju kultury teatralnej t.j. zainteresowaniu teatrem, o wrażliwości na działanie estetyczne sceny, wśród ludności kraju, w którym niema wysoko postawionych szkół powszechnych i dostatecznie rozwiniętego czytelnictwa.

Dalszą cechą kultury jest jej związek z określoną zbiorowością. Kultura nie unosi się w ponad — historycznej przestrzeni, lecz jej wytwory powstają i działania przebiegają w konkretnych zbiorowościach ludzkich i struktura, warunki życia tych zbiorowości wyciskają na nich swe piętno. Kultura jest zbiorem wytworów i działań spełniających w historycznych zbiorowościach określone funkcje. I chcąc zrozumieć jakiś element kultury, musimy patrzeć na niego od strony tej funkcji, jaką spełniał w tej zbiorowości, w jakiej powstał. Stąd odmienność kultur należy sobie tłumaczyć odmiennością społeczeństw, które je wytwarzają i odmiennością warunków życiowych. Kultura Kurpiów różni się od kultury górali Tyrolu. Inne jest budownictwo, stroje, zwyczaje, legendy, stosunki między ludźmi — bo inne środowisko, inne warunki, inna struktura społeczności. Kultura ludowa to zespół swoistych wytworów, wierzeń, tradycyj itp. opartych o pracę na roli, swoistą technikę i podział pracy, podzielanych przez wiejską zbiorowość typu rodzinno-sąsiedzkiego.

Lecz chociaż kultura powstaje w określonych społeczeństwach, to pewne jej elementy lub systemy mogą się przenosić w czasie lub przestrzeni do innych zbiorowości. Ta jej zdolność wywołuje najwięcej złudzeń co do ponad-historycznego charakteru kultury Przenoszenie się systemów kulturowych poprzez wieki, podejmowanie ich na nowo w innych społeczeństwach i dalsze rozwijanie, wywoływały przekonanie, że mamy do czynienia z samorzutnym rozwojem obiektywnej, od człowieka niezależnej rzeczywistości. A jednak jest to złudzenie. Mamy tu do czynienia z przejmowaniem narzędzi pracy, stylu życia, sposobów myślenia lub pewnych zagadnień. Takie przenoszenie elementów lub systemów kulturowych napotyka zawsze na opory ze strony społeczeństwa przejmującego, zanim nie wejdą one w związki z całością jego kultury.

Czasami niektóre dominujące systemy kulturowe wytworzono w jednym społeczeństwie, mogą przenikać szeroko tworząc swoiste kompleksy i związki kulturowe. Tak było np. w okresie hellenizmu, kiedy filozofia i nauka grecka rozszerzyła się na cały ówczesny świat, nadając mu specjalne piętno. Podobnie religia chrześcijańska łączyła niekiedy bardzo różne kultury narodowe i ludowe w kompleks kultury chrześcijańskiej. W czasach nowożytnych nauka i technika zachodnio-europejska stały się podstawą wielkiego kompleksu kultury zachodniej. Tę samą rolę łączenia kompleksów kulturowych mogą odgrywać i ideologie społeczne.

Zbierając w jednym zdaniu to wszystko co starałem się naszkicować powyżej, można zaproponować takie określenie kultury: „Jest to całkowity zespół zobiektywizowanych sposobów postępowania ludzi i wytworów świadomej ludzkiej działalności, zespół stanowiący całość powiązaną strukturalnie, podlegający ciągłym zmianom, związany z określoną zbiorowością społeczną i mogący się rozszerzać w czasie i przestrzeni".

Możemy również ująć kulturę od strony jej funkcji, jaką spełnia w życiu człowieka. Wtedy powiemy, że jest ono całością urządzeń, które służą mu do przystosowania się do środowiska przyrodniczego i współdziałania z innymi ludźmi.

Zależnie od stopnia złożoności i bogactwa elementów, możemy rozróżnić kultury rozmaitych typów i poziomów. Niema jednak człowieka bez kultury. „Człowiek bez kultury" jest pojęciem wewnętrznie sprzecznym. Gdy mówimy o kimś, że jest człowiekiem bez kultury, znaczy to tylko, że jest człowiekiem innej kultury niż nasza. Rzecz charakterystyczna, że wyrozumienie i poszanowanie dla innych kultur, było zawsze cechą kultur wysoko rozwiniętych.

*) Odczyt wygłoszony w ramach Powszechnych Wykładów Uniw. Łódz. dn. 15.II.48.

Paulina Czyżowa

Szkoła dla literatów

Nazywa się to u nas felietonem literackim i jest znakomitym polem popisu dla różnego rodzaju malkontentów. To już nie dyskusja literacka, nie wielkie i w gruncie rzeczy pobłażliwe „klasówki" Żółkiewskiego w „Kuźnicy" czy w Nieborowie, to poszturchiwanie i popychanie pisarzy rzekomo „opóźniających się" wobec rzeczywistości.

Literaci na ogół już tak przywykli do tego systemu „szkolnego", że nie bardzo zwracają nań uwagę. O, nie dobrze, to jeszcze jeden objaw opóźniania się. Ale czasem te małe lekcje literackie stają się irytujące, gdy przy całej swej błahości przybierają ton profesorskich nagan.

Taki nowoupieczony profesor w „Nowinach Literackich" tuż pod bokiem Jarosława Iwaszkiewicza, nazywa się „Jack" i daje lekcje dla pisarzy w „Kronice literackiej". Nadużywając „wolności słowa" i dobrotliwości samego redaktora Iwaszkiewicza prof. Jack po prostu plecie głupstwa co jest może uprawnionym ale niemiłym dla studentów przywilejem profesorów.

No! Nawymyślał recenzentom literackim czy poetyckim.

Niech ma! Podparł się zresztą autorytetem Borejszy, który wystąpił w „Odrodzeniu" przeciwko „abrakadabrze" publicystyki i krytyki literackiej. („Niech będzie chwała gromkiemu głosowi Jerzego Borejszy za to...") No! Ujął się za rzekomo uciśnionym Wyką („Powiecie: to formalizm, to estetyzowanie, jak mówiliście już nieraz K. Wyce...") Niechże mu będzie! Niech ma przyjemność traktowania całej reszty pisarzy (poza sobą) przez jedno globalne: „wy". Nech się bawi swoim porównaniem literatury do Babiej Góry, gdzie krytycy w roli czarownic na miotłach „święcą swój sabat". Brzydkie!

Ale niech nie kocha w ten niewybredny sposób Jana Kotta („O wiosenne, słoneczne sny Kotta") bo jeszcze my przestaniemy go kochać (za te sny różowe i słoneczne). Ale niech nie wyrokuje, ocenia, spycha lub ocala tak lekkim słowem, niech nie stosuje przestróg, recept, zabiegów medycznych — bo mdło się robi. („Uczmy się od naszych wielkich wzorów...")

Literatura nasza ma zdaniem prof. Jacka ciągle za mało „krzepy", jest zbyt intelektualna i skomplikowana, przez to nudna i anemiczna, a nam trzeba treści ludzkich („że aż prymitywnych"), krwistych („transfuzja krwi"), dramatycznych. Zapewne chodzi o sprawę fikcji literackiej, jej stosunek do intelektualnego, czy jak pisze Brandys—publicystycznego elementu literatury. Ale prof. Jack ziewający do łez nad „naszymi" (więc i własnymi, jego, prof. Jacka) książkami sądzi, że to zwykły uczniowski upór, zła wola („Kuźnica" machnęła ręką...") że pisarze zamiast pisać ciekawe książeczki grają sobie pod ławką w klipę intelektualizmu, komplikacji i tzw. tradycji literackich. A to dlatego, że nie było dotąd prof. Jacka, który by przyszedł, uderzył liniałem w stół i krzyknął: Dość tego!

A teraz pomijając sens („Kuźnica" też machnęła na coś tam ręką), pocieszmy się kwiatkami stylu profesora, stylu rzeczywiście „antyintelektualnego":

1) „rzeczywistość stała się odmienna od narzędzi, którymi..." (jak to dobrze, że rzeczywistość stała się odmienna od narzędzi...).

2) „Obóz dla internowanych przypominający szkółkę dla dorosłych i wszystkie konsekwencje psychologiczne z tego wynikające..." (obóz przypominający konsekwencje psychologiczne).

3) „ma się wrażenie bolesnego ścierania się tych dwu podstaw..." (kogo boli? kto, co stoi, kto, co ściera?).

4) „Miasto w tej książce jest z podobnej gliny co element latarnikowski u Dygata..." (wszystko na tym świecie jest z gliny).

5), 6) „następuje wyzwolenie z bagażu przeszłości..." (po prostu oddanie do przechowalni) „chociaż jeszcze niekiedy chwiejne..." (czy wyzwolenie to odbyło się na okręcie?).

7) „by te wzory stały się dla nas podnietą do rewizji i przeobrażenia własnej kuchni literackiej" (rewizja w kuchni!).

Każdemu może się przytrafić. Te nielogiczności stylu są dość typowe. Każdemu, ale nie prof. Jackowi, którego prosimy: dosyć lub — skromniej!

Lech Budrecki

TRACĄCY WIEDZĘ O CZŁOWIEKU

(rozważania nad Iwaszkiewiczem — część pierwsza)

Jarosław Iwaszkiewicz

Podstawowym zagadnieniem powieści europejskiej przełomu XIX i XX wieku, zagadnieniem nie tracącym po dziś dzień na aktualności stała się sprawa granic **wiedzy o człowieku**, jako **jednostce psychicznej**.

Wszyscy pisarze pierwszych lat minionego wieku zdradzali w tym miejscu niezachwianą pewność, podobna do tej jaką zachowują dziś jeszcze powieści Vicki Baum czy też Dołęgi-Mostowicza. Nie zastanawiali się oni bowiem nad możliwością zaistnienia takiego właśnie problemu. Wierzyli, że od introspekcji własnej świadomości do poznawania cudzej przechodzi się bez dodatkowych hipotez, bez wysiłku. Ufali starej mądrości Kartezjusza i Locka. Z chwilą jednak, gdy zaczęto mówić, że dno psychiki ludzkiej wszędzie jest takie samo, gdy podjęto dyskusję nad granicami wolności poszczególnej jednostki, sytuacja zmieniła się gruntownie. Pisarze przechodzili z pozycji na pozycję wybierając nierzadko postawę egzorcysty. Odkryli bowiem demona. (Nie uprzedzajmy jednak wydarzeń).

Nie tak dawno jeszcze żartowano powszechnie, że współczesna powieść zna właściwie tylko jeden temat: **przestępstwo**. Nie mylono się tak bardzo. Problem odpowiedzialności człowieka wypełnia wiele tomów dzisiejszej beletrystyki. Chodzi o prawo rzymskie, o słuszność przesłanek, na których ono się opiera. Okazało się bowiem, że człowiekiem powoduje nie tylko namiętność. Kiedy wzorcem młodych ludzi przestał być Julian Sorel, kiedy miejsce jego zajął święty laickiego wyznania Lafcadio*), przekonano się z łatwością jak bardzo chybioną była próba wyznaczenia granic ludzkich postępków. Naturalnej moralności nie znalazł nikt. Napróżno przeróżni biologiści odwoływali się do przyrody, do praw rządzących rzekomo gatunkami, szukając tam wskazań.

Jeśli piszę to wszystko z okazji Jarosława Iwaszkiewicza, postępuję tak tylko z racji tego, iż autor „Czerwonych tarcz" zalicza się do tych nielicznych polskich pisarzy, którzy brali udział na naszym gruncie w wielu usiłowaniach współczesnej powieści europejskiej, wyklinającej Bourgeta i niewiele wspólnego mającej z Proustem. Podczas gdy Kaden, Dąbrowska, Kossak-Szczucka tkwili w formacjach kulturalnych starszych, sięgających albo secesji („Mateusz Bigda"), albo post-pozytywizmu (saga rodzinna — „Noce i dnie") albo też co gorsza czasów Ponson du Terraila („Złota wolność"), Iwaszkiewicz, właśnie Iwaszkiewicz. (mogę wyliczyć tu szereg jego książek), nawiązywał do tych wydarzeń beletrystycznych, rozgrywających się na zachodzie, jakie nazywamy dziś najchętniej — **rozwojem psychologizmu**. Nie Roger Martin du Gard, nie Duhamel, nie Galsworthy i nie sentymentalny Romain Rolland wreszcie, a Gide, Malraux, Joyce i Lawrence dyktowali swoją poetykę młodym pisarzom, dawali literaturę uznawaną wówczas najpowszechniej (przez profesjonalistów) za pierwszogatunkową.

W Polsce jedynie Iwaszkiewicz, a z młodszego pokolenia Schulz i Gombrowicz, może Uniłowski i Andrzejewski współuczestniczyli w tych przebiegach literackich. Im przeto nie przeznaczy po latach filolog roli „odrabiaczy epok".

W roku 1933 ukazały się „Panny z Wilka". Tom na pewno przełomowy dla całej twórczości Iwaszkiewicza. Od niego bowiem poczynając można już we wszystkich późniejszych książkach tego pisarza napotkać elementy, które wystąpiły po raz pierwszy nieco wcześniej, bo w „Księżyc wschodzi".

Zupełnie poważnie zakwestionowano tu przeniesienie doświadczenia zdobytego przez siebie na kogoś innego, zakwestionowano możliwość wyjaśnienia niektórych postępków ludzkich. Czytając książki Iwaszkiewicza odnosi się niejednokrotnie wrażenie, że opowiadane wypadki rozegrały się gdzieś daleko poza naszymi oczyma, że widzimy jedynie peryferie akcji. Okazuje się przy tym, iż nie oglądamy najważniejszych faktów, że dowiadujemy się tylko o nich, że wiele przed nami ukryto. Przyczyn doszukiwano się najczęściej i najsłuszniej w konstrukcji dzieł. Wykryto tu ulubione chwyty Dostojewskiego i Conrada jak np wprowadzenie narratora. Ten zaś jest zazwyczaj tylko obserwatorem odbywających się wydarzeń, występując jako świadek. Brat Felka opowiadający o tragicznym wypadku, jaki zaszedł w ich domu już przed laty nie zna go w całości („Nauczyciel"). Jego narracja przypomina każde poznanie w myśl zasad „Ewolucji twórczej" (niech przywołam tu ulubioną formułę Wiktora Rubena), która nie mogąc wyczerpać całości „życia" upraszcza je i ułatwia.

Tak więc narrator dziwnej historii „Powrót Prozerpiny" zna tylko fakty i nie może ich objaśnić ani wytłumaczyć. Ba, ale to wynik każdego opowiadania w pierwszej osobie. Nie, to bardzo celowe (nie wiem natomiast, czy celowo pomyślane) użycie jako osoby opowiadającego kogoś, kto w przeciwieństwie do Marcela z wielkiego cyklu Prousta, wie o zachodzących wypadkach bardzo niewiele i bardzo niedokładnie. Ale oto inny typ kompozycji i inna forma podawcza zachowujące ten sam brak motywacji ludzkich postępków. Weźcie „Młyn nad Utratą". Pisarz stale stosujący introspekcję psychiczną w stosunku do Julka Zdanowskiego usuwa ją w pewnym miejscu, odrzuca. I to kiedy? Wówczas właśnie, gdy bohater ma spełnić czyn najbardziej interesujący bo 1) sprzeczny z kartezjańską psychologią, a po 2) statystycznie ze wszystkich jego postępków najrzadszy: czy wiemy dlaczego Malina zostaje kochanką Stanisława („Brzezina")? czy wiemy dlaczego Kora decydująca się w końcu na prośby Dicka porzuci rodzinę i dzieci by wyjść za mąż za jakiegoś przygodnego towarzysza podróży („Powrót Prozerpiny")? Nie, to są już sprawy wykraczające daleko poza zasięg wiedzy autorskiej. Czy pamiętacie „Biesy" tę jedną z najświetniejszych książek XIX wieku bliską Andrè Gide'a? Stawrogin wezwany na audiencję do gubernatora gryzie go nagle podczas rozmowy w ucho. Jeśli mamy się tu zabawić w ukochany przez wszystkich krytyków współczesnej doby fikcjonalizm, to możnaby powiedzieć, że Balzac czy Stendhal opisując podobną scenę nie omieszkaliby oświadczyć na końcu, że Stawrogin jest chory umysłowo. Dostojewski jednak nie uczynił tego. Tak zaczął się wielki przełom w beletrystyce XIX-wiecznej. Potem przyszli Conrad i Gide, obaj nauczyciele **filozofii wahającej się przed ujawnieniem motywów ludzkiego postępowania**.

A u podstaw tkwił **agnostycyzm**, tkwiły zasady nowej psychologii, niszczącej dawną koncepcję człowieka. Spór o naturę ludzką podjęto raz jeszcze. W rezultacie pisarz prędzej mógł mówić o doznaniach bohatera niż o jego myślach. Czynność myślenia, którą tak podziwiał ongiś autor „Rozprawy o metodzie", okazała się zupełnie niesprawdzalna w swej jakości i w swym przedmiocie.

Przejrzyjmy kilka ostatnich stronic „Starej cegielni". „A jednocześnie wyobraźnia jego pracowała niezwykle intensywnie, czuł, że wszystko się skończyło i w takim dziwnym skrócie przebiegające przed jego oczyma całe życie nic mu w głowie nie pozostawiło — żadnej twarzy, żadnego widoku — wszystko przeminęło jak mgła, tylko w pamięci istniał ten przedmiot mały, oksydowany, jedyna rzecz, dla której warto było żyć — ten rewolwer".

Człowiek wielu powieści tego okresu w chwilach rozstrzygających **przestawał myśleć, zaczynał czuć**. Toteż jego intencje w chwili działania są absolutnie niesprawdzalne. Tu chcąc podtrzymać sławetne tradycje rygorystyki naukowej, podaję jeszcze jeden przykład. Ignacja Zielonko strzela do swego kochanka („Słońce w kuchni"). Oto wszystko, co wiemy o niej zaraz po dokonaniu morderstwa: „Ludzie gromadzili się na brzegu przystani i pokazywali ją palcami. Ułożyła się spokojnie na dnie kajaka i założywszy ręce pod głowę patrzyła na nieposzlakowane czyste niebo. Falki wody klapały, rozbijając się o boki łodzi i wypełniały jej uszy powolną, słodką harmonią. Czuła się szczęśliwą. Wszystko, wszystko co się miało dokonać w jej życiu, odbyło się już i mogła teraz wypoczywać... wypoczywać..."

Ta niejednokrotna rezygnacja z wiedzy o motywach ludzkich czynu, to ustawiczne zaznaczanie granic naszego poznania w stosunku do psychiki drugiego człowieka nie jest czymś nieustannym dla drugiej połowy twórczości Iwaszkiewicza tj. od „Panien z Wilka" aż po „Młyn nad Lutynią".

Autor „Nowej miłości" usiłował kilkakrotnie dać pozytywne rozwiązanie sporu o naturę ludzką, rozwiązanie wykraczające poza auto-determinizm. Kiedy zburzono do reszty charakter, kiedy okazało się, że skąpiec może nie być skąpym, a zazdrośnik zazdrosnym, kiedy katalog przymiotów człowieka, podzielonych starannie na ujemne i dodatnie przestał mimo swej niebywałej użyteczności w praktyce codziennej służyć beletrystyce, należało poszukać nowej motywacji czynów człowieka. W „Czerwonych tarczach" sięgnął Iwaszkiewicz do interpretacji tradycjonalnej. Wycofał się na chwilę poza sugestie, rzucone przez nową literaturę. Henryk ks. Sandomierski sądzi swą kochankę oskarżoną o świętokradztwo, sądzi i skazuje na śmierć. Otrzymujemy tutaj dokładną relację o jego doznaniach, ujawniającą nam wszystkie intencje postępku księcia. „Jednocześnie zaś czuł, że sam wobec niej (Judki) wyrasta, wznosi się na swoim tronie z kości słoniowej jak na obłoku, mgła zimna oddziela go od jej rzeczywistości, od jej ciała, od jej słów i głosu. Że w miarę słów proboszcza, który wzywał jego na sędzię, zachodziła w nim przemiana podobna, jaka zaszła w opłatku zgwałconym przez Judkę. W miarę konsekracyjnych słów kapłana przeistaczał się. Nie był Henrykiem, kochankiem pięknym, pamiętającym dotknięcia każdego włókna tego nieszczęśliwego ciała, które uciekało od niego jak trup rozbitka na tratwie. Stawał się nie człowiekiem, maszyną, której ponadludzkie prawo używało do przywrócenia naturalnego biegu spraw świata, naruszonego przestępstwem. Władza jego w tej chwili była złudzeniem, musiał postąpić jak mu nakazywało prawo". Sprawa jest jasna. Dawny typ deterministycznego, w zakresie psychologii, modelu człowieka został zachowany. I w tym sensie czyn ks. Henryka przypomina postępki bohaterów Waltera Scotta, Stendhala czy też Dumasa.

W kilka lat później raz jeszcze podejmie Iwaszkiewicz próbę wyjaśnienia ludzkiej świadomości. Uczyni to w „Pasjach Błędomierskich". Jesteśmy już poza tradycyjnymi propozycjami. Wszelaką motywację podaje pisarz bardzo ostrożnie. Odkrywamy ją już zazwyczaj w dialogach. Toteż moglibyśmy nie wierzyć Kańskiemu, gdy ten woła, że został dzieciobójcą z miłości do Róży. Wystarczy jednak niewielki fragment narracji, by przekonać nas o prawdzie jego słów. „Prawie skończony rękopis powieści spalił pewnego dnia na kominku swego przykrego mieszkania. Wszystko co pisał, wydawało mu się tak nierzeczywiste i sztuczne w porównaniu z Różą".

Wkraczamy teraz w kraj **grzechu i winy**. Widywaliśmy bogów na scenie, rzadziej czytywaliśmy o nich w powieściach. Później opuścili oni teren beletrystyki już zupełnie. Proust nie potrzebuje ich nawet nazywać. Została jednak machineria grzechu, jedynego nakazu krępującego zdaniem Dostojewskiego wolność człowieka. Została sprawa łaski i „metafizycznej" psychologii. A przecież podstawowym zadaniem religiantów było sprowadzenie „zaświatów" do najzwyczajniejszej empirii. Weszliśmy więc w aurę rzadko obserwowanych doznań. Sięgnijmy jeszcze raz po „Młyn nad Utratą". Czytajmy. „Ale to nie było łatwe: niebo wznoszące się nad Werfen czy nad Krzywizną było puste — choć pełne niewytłumaczonych światów. Czy to Potęgi, Trony i Moce błyskały tam w niebie. Czy białe karły i czerwone olbrzymy co gdzie, i jak... Wo bin ich? Gdzie jest znaczenie tego wszystkiego? Zdawało mu się, że to, co widzi jest tylko zasłoną na oczach. Nigdy jeszcze tak ostro nie odczuł, że wszystko co poza siebie rozumem wyrzuca, znajduje się w nim samym, że kiedy zamknie oczy zniknie cały świat". Jeśli chcemy zapoznać się z psychologią świętości nie porzucajmy tego opowiadania. Wertujmy je dalej. „A mimo to czuł jak ów Pan zabierał go i pochłaniał niby nieskończony ocean porywał go i ciągnął za sobą w wir nieskończony rzeczywistości bardziej rzeczywistej od wszystkiego na co patrzył i co czuł. Oddawał się temu wirowi, przeniknięty do głębi jego chłodem i bólem, oddawał się całkowicie Panu Bogu swojemu, który spadał na niego niby orzeł większy od fiołkowej chmury noszącej burzę". Wtedy dopiero wracając do „Pasji Błędomierskich" zrozumiemy nagłą ucieczkę starego Zamoyłły i jej dziwaczną motywację, zawartą w słowach tego wielkiego pisarza: „Co mi jest. Nic, zbuntowałem się. Świat mnie boli. Siedzi tutaj w sercu i boli. Cały wielki okropny świat. I strach mnie bierze, że nie zdążę uciec".

Zatrzymajmy się teraz w innym miejscu tej samej powieści. „Nad białym łóżkiem, wąskim i prostym wisiał obrazek, niedawno przez starego Zamoyłłę z Paryża przywieziony. Była to reprodukcja „Zaślubin świętej Katarzyny" Corregia. Kanicki wpatrzył się w ten obraz i za plecami Matki Najświętszej ujrzał ową niebieską dal, która jest obrazem innego życia. Wydawało mu się, że naprawdę nic nie wie, że jest małym żałosnym człowiekiem i jak osobisty smutek odczuł straszliwą małość i grzeszność tego co czynił. Istnienie swoje po prostu postrzegł, jako grzech wobec boskiej wielkości i piękności świata. „Przecież ja nic nie umiem, przecież ja nic nie widziałem, przecież ja nie wiem gdzie dobro i gdzie zło... I czym ja jestem i gdzie ja jestem. I upadłszy na kolana przed łóżkiem Róży, ukrył twarz w białej kapie i wybuchnął wielkim płaczem".

Tak więc w tej powieści weszliśmy po raz pierwszy w sprawę grzechu. A ona warunkuje zaistnienie powieści chrześcijańskiej. Gdyby Kanicki zabił bez interesu, gdyby nie przeżył skruchy, mielibyśmy świętego laickiego wyznania, nowego Lafcadia. Ale Kanicki ma uczucie grzechu, ale Kanicki przyjmuje na siebie odpowiedzialność, przyznaje się do winy. Żyjąc pod wpływem ustawicznej ingerencji szatana łatwo popadamy w grzech. Tak brzmi morał „Pasji". A dla katolicyzmu mniej ważne jest istnienie Boga, ważniejsze — szatana. Toteż słuszne jest stwierdzenie z „Matki Joanny od aniołów", że „lud widzi diabła — to lepiej wierzy w Pana Boga i kościół katolicki". A egzystencja diabła w „Matce Joannie od aniołów" jest czymś oczywistym i realnym. „Ale rzecz dziwna, w takich momentach modlitwy — które zresztą nie zawsze tak gwałtownie porywały w szpony jego duszę, mimo uciszenia się wszystkich żalów i wątpliwości w ocalenie wewnętrznego światła — ksiądz Suryn obok tego światła spostrzegał mimo wszystko małą, czarną komórkę — na wskroś różną od tego światła, od tej jasności bożej — małe, ale osobne miejsce, gdzie skurczone i schowane, prawdziwie jednak obecne przebywało zło. I w miarę jak modlitwa się przedłużała, z owego małego jądra ciemności poczynały się rozwijać jakieś macki czarne i giętkie rozplątywały się z węzłów i guzów, i coraz bardziej odsuwały światło Jezusowe. Cały czarny kompleks powiększał się coraz bardziej i nagle ksiądz Suryn spostrzegł oczami ciała prawie, oczami wyobraźni całą okazałość i całą potęgę zła. I świat cały rozdwajał się przed nim na światło i mrok, na jasność i ciemność i spostrzegł ksiądz siłę ciemności i rzucając się na twarz przed tą wizją okropną poczynał wołać: „Panie, Panie mój dlaczegoś mnie opuścił".

Na taki obraz nie zgodziłby się żaden spośród pisarzy laickich. Ale zaraz potem pojawia się raz jeszcze szatan, tym razem jako motywacja takich postępków ludzkich, jakich wyjaśnić nie chcieli ani Dostojewski, ani Conrad, ani Gide. Przyjrzyjmy się przyczynie, dla której ksiądz Suryn popełnia morderstwo. Jest nią po prostu opętany. „Siekiera zrastała się z ramieniem księdza Suryna w pewne, niezawodne narzędzie. Czuł jak krew, która krążyła w jego żyłach, przechodzi w drzewce siekiery i krąży w jej ostrzu. Szatan wspierał coraz mocniej jego ciało i ściskał kurczowymi łapami za serce. Jak mucha dokuczliwa ze wszystkich stron oblatująca, krążyły wokół głowy księdza szeptane słowa: „Na zawsze, na zawsze, na zawsze".

I oto jesteśmy na tropie Bernanosa. Walczymy z **demonem**, który czai się na dnie każdego człowieka.

(C. d. n.)

*) Lafcadio — bohater powieści A. Gide'a „Lochy Watykanu".

William Szekspir

PIEŚŃ O ZIMIE

Kiedy siwieje szronem dom,
Gdy chucha w dłonie biedaczyna
i drwa do izby niesie Tom
I mleko w garnku w lód się ścina
Gdy wszędzie śnieg i stygnie krew,
Rozlega się puhacza śpiew:
Tu - hu!
Tu - it - tu - hu! Nie pieśń, lecz czar!
Anna szoruje brudny gar.
Gdy stroszy pióra drżący ptak,
Kiedy w kościelnych murów ciszy
Gromadka wiernych kaszle tak,
że słów pastora nikt nie słyszy
I gdy Mariannie marźnie nos,
Rozlega się puszczyka głos:
Tu - hu!
Tu - it - tu - hu! Nie pieśń, lecz czar!
Anna szoruje brudny gar.

Wolny Przekład
WŁODZIMIERZA SŁOBODNIKA

(Z komedii Szekspira „Daremne zabiegi miłosne").

Władysław Błachut

Wojna „Piasta" z „Przyjacielem Ludu"

(z walk ideologicznych PSL w latach 1913/14)

TOCZY się na łamach „Wsi" ciekawa dyskusja na temat rozłamu w szeregach dawnego PSL w latach 1913—1914*). Niewątpliwie rozłam, jaki zaistniał w 25 roku działalności tego pierwszego poważnego stronnictwa chłopskiego, musi dziś z perspektywy 35 lat wzbudzać szczególne zainteresowanie i znaleźć należyte i wszechstronne naświetlenie. Główni aktorzy tego dramatu dziejowego, jak: Stapiński, Witos, Bojko, Długosz, Średniawski, i in., odeszli już w krainę cieniów. Pozostały jednak na łamach prasy ludowej a w szczególności na łamach „Przyjaciela Ludu" i „Piasta" ich utrwalone na gorąco wypowiedzi oraz opinie ich ówczesnych przyjaciół czy wrogów. Ponieważ w polemice wzięli udział najpoważniejsi, w tym czasie, chłopscy parlamentarzyści i działacze społeczni wydało mi się rzeczą ciekawą zebrać garść ich, jakże często wcale nieparlamentarnych, wypowiedzi charakterystycznych dla epoki i środowiska — i podzielić się nimi, z interesującymi się problemem ruchów lewicowych w masach chłopskich, czytelnikami „Wsi".

Był czas, kiedy jeszcze Witos przy Stapińskim stawiał pierwsze kroki jako działacz, poseł i publicysta „Przyjaciela Ludu". Kiedy jednak w listopadzie 1913 roku przyszło do ostatecznego między tymi różnymi kierunkami rozłamu, Bojko przystąpił do redagowania konkurencyjnego dla „Przyjaciela Ludu" czasopisma „Piast". Wtedy dopiero rozgorzała między stapińczykami a witosowcami gwałtowna walka słowna, która przybierała niekiedy szczególnie ostrą formę i mogła wzbudzić u postronnych gorszące zdziwienie. Czytając dziś niektóre ustępy z tych polemicznych artykułów możemy wywnioskować, jak mocno zagrały temperamenty ówczesnych przywódców ludu a zarazem stwierdzić, że jednak w naszych czasach przebieg prasowych walk ideologicznych ma o wiele spokojniejszą, bardziej kulturalną formę.

Ale zabierzmy się wreszcie do czytania ówczesnej prasy chłopskiej w interesujących nas wyjątkach. Po pierwszej uchwale rady naczelnej PSL, wyrażającej zaufanie dla Stapińskiego nowonarodzony (14 grudnia 1913 r.) „Piast" pisze co następuje: „...Stapiński postanowił Stronnictwo **unurzać w błocie aż do skutku i oświadczył publicznie, że w dalszem prowadzeniu PSL pójdzie razem z socyalistami** i postępowcami (czytaj **żydami**). Ludowcy byli z tego dumni, że stanowią sami dla siebie niezmorzoną siłę, bo reprezentują milionowe rzesze włościańskie, nie wchodzoli też długo z żadnemi Stronnictwami w układy", (podkreślenia autora artykułu — prawdopodobnie J. Bojki). — Oto wiele mówiąca próbka credo politycznego kierunku, reprezentowanego w PSL przez Reya, Lasockiego, a niestety, także w tym czasie przez Bojkę i jeszcze niezorientowanego dostatecznie politycznie Witosa. A teraz próbka podanego na poważnie dowcipu politycznego, obliczonego na łatwowierność i naiwność ówczesnych czytelników chłopskich: **„Wszechświatowy zjazd łapowników.** Jak nas dochodzą słuchy powstała w ścisłym kółku zaufanych Stapińskiego myśl zwołania światowego kongresu łapowników do Kanady, na którym ma być stworzona organizacja światowa łapowników, a prezesem zostałby oczywiście Stapiński". (v. Piast nr. 9 z 1914 r.) — Notatka ta, bez żadnych cudzysłowów, zamieszczona była w dziale aktualnej kroniki „Piasta", a ponieważ w szeregach zwolenników „Piasta" stawiano m. in. Stapińskiemu zarzut pobierania łapówek od rządu austriackiego, łatwo mogła wprowadzić w błąd niewyrobionych czytelników chłopskich.

W zwalczaniu przeciwników politycznych „Piast" nie przebierał w słowach. I tak w numerze 10 z 1914 r. w dziale „Z powiatów i gmin" pisze: „Zator 22 lutego. W dniu dzisiejszym odbył się w sali tut. magistratu wielki wiec ludowy, zwołany przez p. Plutę. Przybyli posłowie Banaś i Średniawski. Na wiec przybyli także dwaj płatni agitatorzy Stapińskiego a mianowicie osławiony z brania co się da Styła i suchotnicza hyena wyborcza Putek z Choczni powiatu wadowickiego"... a w nrze 17 z dnia 17. 5. 1914 o tymże Putku w art. pt. „Oszczercy z wadowickiego słów kilkoro" wyraża się „Piast" jak następuje:... „Otóż ten najmita, pisarzyna adwokacki z Wadowic, rzuca się teraz w organie Stapińskiego jak wściekły pies... i dlatego piętnuje cię od razu podłym nikczemnikiem, moralnym bandytą i tchórzem! Zaznaczam, że na twoje oszczerstwa i paszkwile więcej odpowiadać nie będę, bo z ludźmi tak niskiego i podłego charakteru wstyd mnie nawet polemizować. A na przyszłość pisarczyku, jak będziesz pisał, to się podpisz swoim imieniem i nazwiskiem, bo kryć się, jak lis pod zmyślone nazwiska, na nic się nie przyda. Twoją bazgraninę zgryźliwą zaraz poznamy i wiemy o tem, że wszystkie korespondencje w „Przyjacielu" podpisane przez Rokowskiego, Gwizdza, Pasternaka, Piguiskiego, Sąsiada i innych z naszego powiatu są przez ciebie spłodzone i dosadnie charakteryzują poziom twojego podłego charakteru, kultury i wykształcenia. Potrafisz tylko wszędzie ryć jak świnia i więcej nic. Fr. Świerkosz". Oto przykład „wersalskiej" polemiki prasowej z tych bogatych w wydarzenia lat.

Wróćmy jednak na pole centralnej walki ideologicznej. Głos ma poseł Fr. Górkiewicz. W artykule pt. „Handel o chłopskie dusze" pisze w nrze 12 „Piasta" z 1914 r. co następuje: — „...Stapiński połączył się Żydami, ze socyalistami, które to żywioły chętnie z otwartemi ramionami przyjmują go pod swe skrzydła i przy jego pomocy wdzierają się pod nasze strzechy wiejskie. Pytam was chłopi, czy nasi przywódcy składać się mają z żydów i socyalistów!? O zgrozo! jakimżeby to nazwać trzeba strasznym naszym upadkiem!" Na ten sam temat czytamy w nrze 14 „Piasta" z 1914 r. w artykule pt. „Precz z rozbijaczem ludu": „Widząc, że wszystkie żywioły uczciwe, że cały niezdeprawowany, uczciwy lud polski od niego się odwrócił, Stapiński poszedł do socyalistów, z nimi się związał sojuszem i tym razem z socyalistami idzie na wieś, chcąc z chłopów zrobić socyalistów... Dzisiaj Diamand razem ze Stapińskim wiecuje, przedstawia go jako zbawcę ludu (wybranego!) a żydki na komendę Diamanda już nie krzyczą dzisiaj: Gewałt! Precz z Janem Stapińskim! ale krzyczą: Hojch! Niech żyje nasz Jankiel Stapiński!" Wreszcie w artykule wstępnym z nru 15 pt. „Ostatnie podrygi Stapińskiego" „Piast" pisze: "...Lud polski jest już na tyle silny, że nie potrzebuje szukać sojuszników między żydami i socyalistami, którzy byli, są i będą jego wrogami. Lud polski pójdzie do walki o jaśniejszą przyszłość pod swoim własnym, nie pod czerwonym ani pejsatym sztandarem... cały lud polski splunąć musi z pogardą w stronę p. Stapińskiego, który dla dogodzenia swej ambicji sam stał się żydowsko-socyalistycznym pachołkiem i takimi pachołkami chciał zrobić ludowców... Dla polskiego ludu p. Stapiński pachołek żydowsko-socyalistyczny, przestał istnieć".

W ten sposób kierunek wsteczny krótko chciał się załatwić z postępowcami. Na szczęście zdrowy rozsądek i trzeźwość polityczna radykalnie nastawionych mas chłopskich ujawniły się w oddanym poparciu swego przywódcy w tych ciężkich dla niego chwilach. Gdy Stapiński w oparciu o stronnictwo robotnicze rozpoczął ze swymi przeciwnikami żażartą walkę — „Piast" nie szczędził mu wyzwisk i oskarżeń. Z nru 23 z dnia 7.6. 1914 podaję ostatnią próbkę tego rodzaju: „..Zobaczył lud, że Stapiński to nie żaden nowoczesny reformator, nie geniusz, nie polityk, **zastosować się umiejący do położenia i chwili**, ale zwykły polityczny agitator, blagier, korupcyonista, demagog, umiejący grać rolę polityka — wodza ludu. Michał Tworek".

A teraz zobaczymy co pisał i jak się bronił w swoim organie „nie umiejący się zastosować do położenia i chwili" Stapiński. W tym celu musimy wziąć do ręki rocznik już 25-ty doskonale redagowanego „Przyjaciela Ludu" i zapoznać się z interesującą nas treścią niektórych artykułów politycznych. I tak w numerze 11 z dnia 9 marca poseł J. Sanojca w art. pt. „Rozbijacze pogotowia narodu" pisze: „...Gdy zjednoczone obozy wszechpolskie i klerykalno-konserwatywne zmobilizowały swe siły i włażą jak robactwo na wieś, my musimy się zjednoczyć w silne organizacje, by być w możności stawić czoło i wrogom Moskalom i swojej własnej na piersiach wykarmionej hydrze". Było to pierwsze ostrzeżenie stapińczyków pod adresem rozbijaczy jedności narodowej i wezwanie do zbrojnego pogotowia w szeregach chłopskich. W numerze 49 z dnia 30.11.1913 w artykule pt. „O co idzie?" wyjaśnia Stapiński: „...przeszedłem ciężką chorobę polityczną, która trwała pięć lat. Chorobą taką było złudzenie, że pp. Długosze, Reye, Lasoccy i tym podobni panowie pomogą do wywalczenia chłopom należnych praw. Zamiast tej pomocy dali nam owi panowie to, co się właśnie dzieje, to jest rozbicie, sparaliżowanie ruchu chłopskiego... Skutki tej pięcioletniej próby są straszne. Ale i pożytek dla ruchu ludowego wielki. Ktoby był inaczej nie uwierzył, ten ma teraz jaskrawy dowód, że dla ludu jest tylko jedna droga do zwycięstwa i lepszej przyszłości, a mianowicie droga walki o własnych siłach, bez pomocy pp. Długoszów, Lasockich, Reyów itp. panów. Kocham stronnictwo, któremu służyłem całe życie. Bolą mnie też najstraszniej operacje, jakie teraz przechodzi. Jeszcze przed tygodniem, dopóki nie wiedziałem, że Abrahamowicze-Korytowscy tem kierują, aby przeistoczyć sztandar PSL, chciałem się usunąć, aby nie rozbijać. Ale teraz, gdy Abrahamowicze już triumfują i Witosowi gratulacje składają w parlamencie, powiadam jasno: Nie dam sztandaru PSL na hańbę, na służbę u wrogów ludu. Bracia! do walki w obronie idei PSL!" A w związku ze stawianymi mu zarzutami natury pieniężnej na łamach „Przyjaciela Ludu" (nr. 50 z 7.12.1913 r.) odpowiada: „...Twierdzę, że p. Witos za dwa lata więcej zarobił na poselstwie, niż ja za 15 lat posłowania. Nie biorę mu tego za złe, owszem cieszę się z jego oszczędności, ale niechże p. Witos o mnie kłamstw nie rozszerza..." Na marginesie pragnę zanotować, że stosunkowo najbardziej rzeczowe i w umiarkowanej formie były zarzuty i oskarżenia sformułowane przez samego Witosa pod adresem Stapińskiego i odwrotnie. Ich przyjaciele i stronnicy natomiast nie odmawiali sobie niczego, aby tylko zgnębić i poniżyć przeciwnika.

We wspomnianym wyżej numerze „Przyjaciela" dość płodny korespondent tego pisma Józef Kaźmierczak w artykule pt. „Wytrwamy" daje ciekawą charakterystykę piastowców w słowach: „...Jak może rzetelnie bronić spraw chłopa biednego taki milioner Długosz, taki hr. Rey, pobierający corocznie 84.000 koron bonifikacji gorzelnianych... A toć sobie hr. Rey nieraz powie: diabli o stronnictwo ludowe, ważniejsze bonifikacje... W chwili kiedy zewsząd wrogowie nacierają na PSL, oni uknuli jeszcze ohydny plan rozbicia stronnictwa Ludowego... i wściekłą walkę wydali PSL a szczególnie prezesowi Stapińskiemu..." Ta wypowiedź nie wymaga szerszych komentarzy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że chłopski korespondent miał słuszność.

Ciekawym jest również wyjaśnienie Stapińskiego (w numerze 51 „P. L." w artykule pt. „Odpowiedź oszczercom") co do jego istotnego stanowiska w sprawie reformy prawa wyborczego. Na ten temat Stapiński pisze: „...O kłamstwach i zarzutach co do reformy wyborczej, przeczytacie moją mowę sejmową przy sposobności. Tu z oburzeniem i ubolewaniem podaję następujący fakt: **Klub Sejmowy PSL pod przewodnictwem posła Bojki a w obecności Długosza odmówił mi 5 bm. (grudzień 1913 — przypisek mój) pozwolenia na postawienie wniosku o czteroprzymiotnikowe (bez kurii) prawo wyborcze! Na tymże posiedzeniu odrzucono mój wniosek, aby się oświadczyć przeciwko reformie zaproponowanej przez rząd.."** Z tej wypowiedzi widać jasno, który kierunek w PSL chciał istotnej i zasadniczej reformy prawa wyborczego, a który ją właśnie torpedował.

Jeden ze swoich artykułów (w numerze 52 „PL" pt. „Oszczerstwa Długosza") poświęca Stapiński temu politykowi. „...Ogólnie wypowiadają się — pisze — gazety wiedeńskie przeciw zdradzieckiej polityce Długosza, a natomiast stwierdzają, że Stapiński dzięki swoim wielkim zdolnościom agitacyjnym i organizacyjnym znów w czasie najbliższym całą wieś polską dla siebie pozyska... Gazety zwracają też uwagę, że Długosz brał grube pieniądze od rządu przez co nadwyrężył i podkopał znaczenie PSL..." O ile pochwała Stapińskiego przez gazety wiedeńskie może być różnie komentowana, o tyle zarzuty pod adresem ministra dla Galicji, Długosza, muszą być oparte na prawdziwych przesłankach.

A teraz przeczytajmy jeszcze co pisze Stapiński na temat zarzucanej mu współpracy z socjalistami: „...oczywiście rozmaici faryzeusze będą krzyczeć, że się łączymy z socjalistami, **ale to już każdy mądry chłop rozumie i uznaje, że raczej nam u socjalistów szukać pomocy, niż u Abrahamowiczów, bo z robotnikami i ich posłami więcej chłopów łączy**, niż z odwiecznymi wrogami chłopów— książętami, hrabiami i tym podobnymi panami obszarnikami... Więc w górę serca, w górę czoła, wytężyć siły i do walki bez wytchnienia, w imię wyzwolenia ludu z niewoli pańskiej i krzywd wiekowych. **Wolny lud polski zdobędzie wszystko, czego zechce, a w pierwszym rzędzie Wolną Polskę Ludową".**

Musimy tu podziwiać u Stapińskiego jasność koncepcji politycznej i wczesne rozpoznanie naturalnych sprzymierzeńców chłopskiej sprawy. Niestety, jeszcze nie każdy chłop wówczas tak rozumował i do Polski Ludowej daleka jeszcze prowadziła droga.

Jeszcze — jak pisze znany pisarz „P. L." Tomasz Chłopski w art. wstępnym do n-ru 7 „P. L." z roku 1914 pt. „Po czym poznać wroga chłopów": „...Zaraza w postaci Długoszów, Lasockich, Reyów, Kędziorów, Banasiów i tym podobnych wdarła się w szeregi chłopskie, aby nas zepsuć. Aż wreszcie doszło do tego, że zarażeni ową zarazą Bojko, Witos, Średniawski, Jedynak, Jachowicz dali się wciągnąć do spisku dla skrytobójczego (w przenośni — przypisek mój) zamordowania wodza chłopskiego Jana Stapińskiego".

Na tym zakończyłbym swój pobieżny bardzo przegląd najcharakterystyczniejszych artykułów polemicznych wrogich sobie obozów z okresu pierwszego rozłamu w PSL. Niedługo zresztą, bo w sierpniu 1914 r. kampania ta w związku z wybuchem wojny światowej uległa zawieszeniu. Jednak drogi Stapińskiego, Witosa i Bojki już na zawsze się rozeszły.

*) Patrz: R. Rybacka: „Rozmowa u starej zasłony", nr. 48 (127), Z. Lasocki „Odpowiedź na „Starą zasłonę", nr. 7 (136), M. Czuła „Zdradzieckie zakręty", nr. 7 (136), R. Rybacka „U źródeł „Piasta", nr. 8—9 (137—138), J. Putek „Cement" i „Ropa" w dziejach ruchu ludowego", nr. 11 (140) i „Do radykalizmu", nr. 12 (141).

Następca tronu austr. arcyks. Rudolf z żoną Stefanią na błoniach krakowskich z banderią krakusów (1888).
Krak. Muzeum Narod.

Alina Nofer

MIASTO

Budki zasiane w kapuście i marchwi
wstrzymują w biegu miasto.
Czerwone, zielone, pasiaste i różne
kuszą paniusie i dzieci.
Dziewczyna na straganie rozsypała bułki
ma brązowe ramiona i śliskie zęby
które podziwia żołnierz.
Przekupka rzuca mu jabłko i uśmiech,
ale on, urzeczony kupuje obwarzanki
za pieniądze, które wygrał w karty.
Czerwona wygrywa, czarna przegrywa
spocone ręce tasują los oczekujących.
Napróżno ślepy harmonista
rozwija i kurczy ochrypłe melodie
nie słucha go nawet kura
zapatrzona w blaszanego kogucika,
który pieje, pieje na ostatniej nucie
wydmuchiwanej płucami chłopca.
Zbieramy obfite naręcze dnia w rynku.
Słońce pomarańczowym sokiem spływa
na twoje usta.
Nie pocałuję ich —
dojrzeją do wieczora.

Piotr Wyrobek — jeden z najstarszych dziś „działaczy — pisarzy chłopskich" mimo swojego wieku (77 lat) wciąż jeszcze uczestniczy we współczesnym życiu społecznym i politycznym. Pisze artykuły, wspomnienia, monografie i szkice etnograficzne. Jeszcze w r. 45 — mając już 74 lata był słuchaczem Uniwersytetu Powszechnego TUR w Krakowie. Wyrobek — jako pisarz, jest typowym rejestratorem dawno zaszłych faktów i wydarzeń. Umie jednak w perspektywie swoich długich lat — oceniając realistycznie rzeczywistość doszukiwać się przyczyn, związków i zależności w rejestrowanych faktach, stając się tym samym bliskim czasom współczesnym i nam najmłodszym działaczom ludowym.

Nad życiem Piotra Wyrobka dominuje walka — walka o **treść społeczną** epoki. To, że Wyrobek rozumie współczesność — jest owocem jego kolejnych zwycięstw, najpierw nad światem wsi ojcowskiej, rodzinnej, świeżo popańszczyźnianej, niechętnej wszelkim zmianom, zamykającej się w granicach domu, pola, dworu, kościoła i karczmy. Wyrobek nie tylko zwycięża wieś swego dzieciństwa — Wyrobek — samouk, działacz, publicysta i urzędnik galicyjski, przezwycięża epokę, w której żył przeszło 70 lat. Odrzucenie precz tradycji pokapitalistycznych stawia Piotra Wyrobka w rzędzie tych, którzy niezmówieni i tak wypełniali stary testament księdzaŚciegiennego: **„należy abyście się zmówili i razem uderzyli na tych, którzy się z wami, jak z bydłem obchodzą".**

T. P.

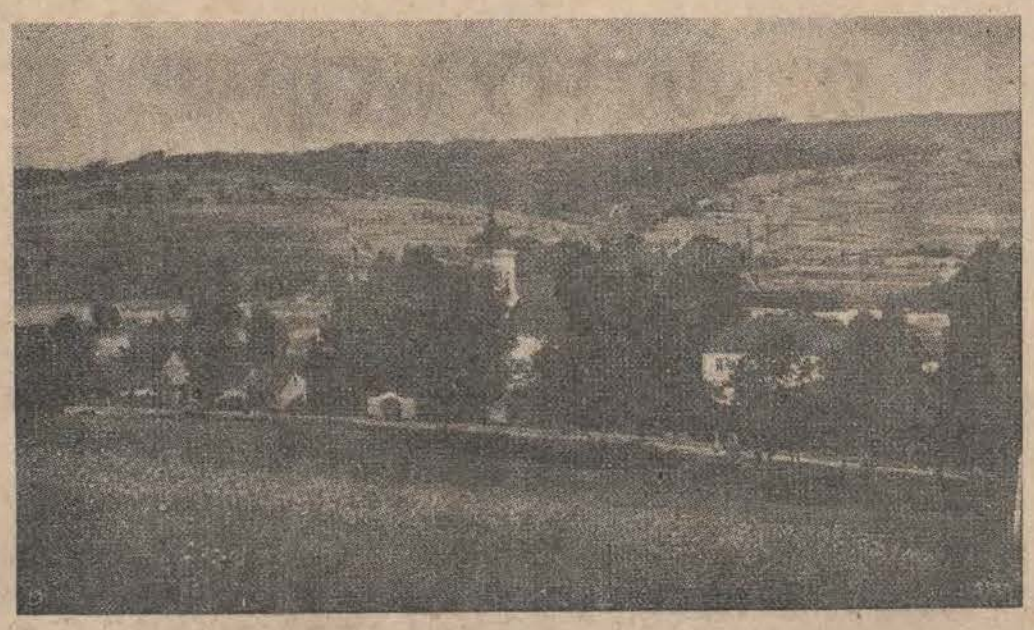

Osielec (Podhale)

Piotr Wyrobek

WIEŚ GALICYJSKA W XIX WIEKU*)

W drugiej połowie XIX w. wytworzył się wszędzie na wsi małopolskiej z powodu zbyt wielkiego rozdrobnienia gospodarstw włościańskich stan taki, że nie można było z większości tych gospodarstw wydobyć dostatecznej ilości środków produkcyjnych na utrzymanie rodziny. Przeszkodą były różne braki jak np. brak nawozów sztucznych przy przestarzałym systemie prowadzenia gospodarki, nieumiejętność hodowli bydła, trzymanego więcej celem uzyskania nawozu naturalnego, bo bydło to przy złym odżywianiu nie mogło dawać korzyści z nabiału. Czyż mógł podnieść swoje gospodarstwo człowiek, nie umiejący gospodarczo myśleć, a żyjący prymitywnie

Piotr Wyrobek

tak, jak żyli jego przodkowie? To też chłopi w Osielcu „z biedy" wyzbywali się gruntów lub leżały one „na złych rokach" odłogiem czyli „stokiem" jak mówiono wtedy, a często grunta chłopskie przechodziły do obcych rąk jako zastaw lub sprzedaż za marne pieniądze na przednówku, więc gospodarstwa drobniały lub upadały. Stąd też wieś Osielec i po zniesieniu pańszczyzny nie mogła się rozwijać normalnie i iść naprzód z postępem, gdyż nie miała do tego warunków. Zwracali na biedotę wiejską uwagę pisarze tego okresu tacy jak Bolesław Prus, który w r. 1872 w swoich rozważaniach, drukowanych w „Opiekunie domowym" wyraził pogląd, że trzeba zwiększyć zdolność wytwórczą mas pracujących, podnieść ich stopę życiową, a obudzą się w nich wyższe potrzeby cywilizacyjne tak, jak to jest w społeczeństwach zachodnich, gdzie widział większą aktywność gospodarczą i prężność społeczną zaś w masach polskich widział tylko nieporadność z nieodłączną od niej biedą, ciemnotą i małą wytwórczością. Zwracał też uwagę na to, że „ludowi dać trzeba dobrą kuchnię i dobrą izbę, a on sam wybuduje sobie szkołę". Ale to były idee ówczesnej epoki pozytywizmu, dla ogółu Osielczan nieznane i niedostępne. Kordon graniczny pilnie strzeżony przez kozaków i trudności paszportowe nie pozwalały zresztą chłopom galicyjskim na udanie się, kiedy by chcieli do Kongresówki za pracą zarobkową do tamtejszych dworów czy fabryk, a tych ostatnich w Galicji brakowało. Z tego powodu wieś galicyjska była biedniejsza jeszcze od tamtej zakordonowej. Byli jednak w okolicy Osielca niektórzy chłopi spryciarze, z powagą „majstrów", jak ich nazywano, którzy werbowali „na Mazury" tych najbiedniejszych chłopów, na roboty polne do „Królestwa Polskiego", wyrabiali im paszporty i prowadzili do zakontraktowanych przez siebie obszarów dworskich w Kongresówce lub na Litwie, na sianokosy i żniwa. Lecz nikłe zarobki tych biedaków wsiąkały do kieszeni „majstrów-pośredników", którzy urządzali się sprytnie — tak, że wypłacali zwerbowanym przez siebie kosiarzom 100 reńskich austr. walutą na św. Jana, w czasie największego przednówka, by po sezonie roboczym na św. Michała zabrać dla siebie wypłacony zarobek przez obszarnika, również 100 ale rubli rosyjskich a więc było tak, że „Maciek zarobił — Maciek zjadł" zarobione pieniądze, bo diabli wzięli 100 rubli za 100 reńskich a „majstra" trzos pęczniał; zarabiał on podwójnie, bo zyskiwał przy zmianie waluty raz, a drugi raz przez przywłaszczenie sobie części zarobku dzielonego na tyle porcji pieniężnych, ilu było kosiarzy, siebie doliczając mimo, że z kosą w ręku sam nie robił, tylko sprawował nadzór za osobną zapłatą.

W r. 1883 rozpoczęto budowę trasy kolejowej przez Osielec, otwarły się zatem zarobki dla ludności miejscowej, wzmogło się przy tym pijaństwo, zaczęli ludzie zmieniać swój strój regionalny, a przejmować od przybyszów z innych krajów haniebne ich zwyczaje, pijatyki, bójki na noże, przedtem nieznane, bo załatwiano je pięścią i kułakiem. Niektórzy tylko przy tej budowie dobrze zarabiali furmankami lub jako robotnicy ziemni. Taki np. Stanisław Bogacz, późniejszy wójt, jako młody parobek potrafił chwycić w przedsiębiorstwo budowy kawałek sztreki. Lecz te zarobki ustały po wybudowaniu kolei z rokiem 1887, kiedy to znowu wzmogła się emigracja za pracą zarobkową do Budapesztu na cegielnie, lub do kopalń w Karwinie i Morawskiej Ostrawie, wreszcie do Niemiec, do Danii i Ameryki. Ci wychodźcy zasilali rodziny zarobkami swymi, lecz z roku na rok coraz to tłumniejsze następowały wyjazdy do pracy w Niemczech nie przynoszące prawie żadnej dla wsi korzyści, bo młodzież się demoralizowała, sprawiała modne stroje, a gospodarstwa własne zaniedbywano z powodu braku rąk do pracy. Zaprzestano między innymi uprawy lnu, którego nie miał kto obrabiać.

Był jednak w Osielcu pastuch, który przy budowie kolei też pracował jako robotnik biegając z taśmą przy inżynierskich pracach pomiarowych. Ten się tak przejął tą pracą inżynierską, że postanowił wyuczyć się na inżyniera. Był nim Joachim Traczyk z roli Sędrowej pochodzący. Swoją edukację zaczął od tego, że mając 19 lat został przyjęty przez organistę Andrzeja Stopę do posług domowych, do „pucowania" butów i do pomocy przy pieczeniu opłatków i roznoszeniu ich po domach parafii. Gdy się przy tym poduczył pisać i dobrze czytać, przepisywał nuty, zaczął grać na fortepianie, później na organach i wyuczył się na organistę. Począwszy od piszczałki pasterskiej grał na klarnecie, flecie, skrzypcach a także na trąbach. Był potem organistą w Jordanowie, a następnie w Pcimiu pod Myślenicami, gdzie był proboszczem ks. Wojciech Guzik z Kojszówki. Poznał się na jego zdolnościach proboszcz, a nauczyciel Klemens Skimina przygotował Traczyka tak, że przyjęto go do seminarium nauczycielskiego. Ukończył kurs przygotowawczy, tudzież I i II kurs seminarialny, lecz przerzucił się potem do szkoły realnej w Krakowie w ten sposób, że od wakacji 1890 r. do końca stycznia 1891 przerobił cały materiał klasy 6, a więc takie przedmioty jak: geometrię wykreślną, trygonometrię, chemię, język francuski, jako drugi język obcy obok niemieckiego. Już od drugiego półrocza 1890/91 był uczniem zwyczajnym tejże szkoły, a po ukończeniu 7 klasy i zdaniu matury wstąpił na Politechnikę Lwowską, po ukończeniu której został inżynierem budowy dróg i mostów, a z czasem awansował na radcę budownictwa galicyjskiego Namiestnictwa. Jako kierownik regulacji rzeki Soły i Sanu, czy dróg i mostów, nie zapomniał jednak o swych biednych rodakach czy rówieśnikach z Osielca, którzy go we wdzięcznej mają pamięci, bo wzywał ich do pracy zarobkowej, która im dawała to zadowolenie, że mogli swymi zarobkami zasilać swoje rodziny.

Jednak nie każdy może poszczycić się taką niezłomnością charakteru i siłą woli jak Joachim Traczyk, który już jako organista i samouk czytał wiele i pisywał wiersze, tryskające humorem i satyrą, do wychodzącego w Krakowie czasopisma humorystycznego „Diabeł" i innych gazet, a potem, gdy rozwinęły się jego zdolności, już za płytką wydawała mu się ta wiedza, jaką dawało ówczesne seminarium nauczycielskie, więc nie chciał się kształcić na nauczyciela, aby po maturze seminaryjnej otrzymać te marne 15 zł reńskich 66 centów, więc sięgał po wyższą wiedzę i osiągnął ją. W czasach studiów zarabiał na utrzymanie dawaniem korepetycji, lekcji gry na fortepianie po domach, co właśnie ułatwiło mu studia i pozwoliło o własnych siłach piąć się na stanowisko wyższe i osiągnąć je. W czasie wojny światowej w 1914 r. był dyrektorem państwowej odbenzyniarni w Drohobyczu. Jeden tylko Osielczanin (jeszcze przed Traczykiem) niejaki Jan Zaręba wyuczył się rzemiosła tapicerskiego w Krakowie i pracował w Paryżu, a drugą osobą, która opuściła Osielec, była dziewczyna z roli Syskowej, która opuściwszy Osielec poszła do Warszawy, tam osiągnęła wyższe wykształcenie (władała także dobrze językiem francuskim). Dał ją kształcić adwokat warszawski, który się potem z nią ożenił. Zresztą, prócz kilku księży, nie było z Osielca nikogo, ktoby osiągnął wyższe wykształcenie i z tego powodu chlubą wsi jest wspomniany Joachim Traczyk.

Przy końcu XIX w. od r. 1886 była w Osielcu 2-klasowa szkoła. Kółko rolnicze założył w tym samym czasie ks. wikary Franciszek Kosturkiewicz, cichy stojałowczyk, a gdy po jego odejściu Kółko to upadło, wznowili je inni. Była też w szkole mała czytelnia ludowa założona przez Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej, zanim powstało w Krakowie „Towarzystwo Szkoły Ludowej" założone przez poetę Adama Asnyka w setną rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja — pod hasłem „przez oświatę do wolności", lecz działalność TSL do Osielca nie dotarła w tym czasie. Do odmalowania kościoła przystąpiono w Osielcu w r. 1899 na 1900-ny rok jubileuszowy, a odmalowania dokonał znany artysta malarz Antoni Stopa z Ostrysa spod Makowa, kosztem parafian.

Przed I wojną światową wielkie dobrodziejstwa dla ludności z okolic Jordanowa i Makowa świadczył pochodzący z Sidziny ks. Jan Trzopiński, proboszcz w Kochawinie, pow. Żydaczów, który ułatwiał jej nabywanie gruntów z rozparcelowanych obszarów dworskich w Kochawinie, Jajkowcach, Daszawie. Tam wyjechało z końcem XIX w. kilka rodzin z Osielca, a także ze Sidziny, Bystrej, Juszczyna, Zawoi i innych miejscowości — od Żywca, a nawet od Mielca i Tarnobrzegu. Lecz większa biedota coraz to tłumniej emigrowała za pracą i chlebem do Niemiec, a po roku 1918 do Francji, gdzie po I wojnie światowej brakowało rąk do pracy. I wzbogacały się tą ich pracą obce narody. Gdy zaś w r. 1939 wybuchła II wojna światowa i nastąpiły masowe łapanki i wysyłania ludzi na roboty do Niemiec, a stamtąd dalej, nawet do Norwegii, to ludzie ci dopiero po zakończeniu wojny wracali, jednak nie wszyscy, bo wielu z nich zginęło od bomb. Ci, którzy wrócili po wojnie zastali już lepsze warunki rozwoju kulturalnego i gospodarczego dla wsi, jakie zaistniały w Polsce po 18 stycznia 1945 r. po pogromie okupanta, ale też zastali wiele zniszczeń wojennych, które ten rozwój hamowały. Usunięto je śmiałymi zarządzeniami Tymczasowego Rządu Polski Ludowej o reformie rolnej, które zmierzały do tego, aby chłop pracował odtąd na swoim zagonie a nie tułał się po świecie dla obcych.

Wielu gospodarzy poszło też z Osielca na Zachód, a ci którzy pozostali nie zasypiają już gruszek w popiele, lecz dźwigają się ku wyżynom życia gospodarczego i społecznego. Takie przebudzenie się wsi ze snu letargicznego daje widoczne rezultaty w dążności do oświaty. Jest w Osielcu szkoła powszechna 7-klasowa z 8-mą klasą zawodową pod kierownictwem Jana Broczkowskiego, jest także Przysposobienie Rolniczo-Wojskowe, założono już w Osielcu Związek Samopomocy Chłopskiej.

Ukoronowaniem tego postępu kulturalno-gospodarczego jest przeprowadzana obecnie na terenie Osielca elektryfikacja tej wsi, na co mieszkańcy Osielca złożyli poważną kwotę 5 milionów złotych. Złożyli ją synowie i wnuki tych, którzy mawiali do swych dzieci, gdy chciały coś czytać: „zgaście lampę i idźcie spać, bo szkoda nafty". Ale i tej nafty czasem brakowało na wsi. W r. 1915 pisał Antoni Stopa do „Piasta": „Przyślijcie tu jakiego oświatowca, ale takiego, co by w jednej kieszeni przyniósł jakąś książkę i gazetę, a w drugiej flaszkę z naftą, bo i w głowach i w izbach bardzo ciemno i smutno mamy teraz".

Ale zmieniają się czasy i ludzie. I w „Wiośnie Ludów" przed 100 laty doniosłe znaczenie miał ten wywalczony przez ludy patent cesarza austriackiego Ferdynanda I z 22 kwietnia 1848 r. znoszący pańszczyznę i poddaństwo chłopów małopolskich (z b. Galicji) bez odszkodowania, z czego skorzystało 5.946.936 chłopów b. Galicji, a ze wsi Osielec około 300.

Dzisiejszą elektryfikację wsi można nazwać najważniejszym wydarzeniem kulturalno-gospodarczego rozwoju wsi.

*) Patrz: „Wieś" nr. 8—9, Piotr Wyrobek — „Wieś Osielec".

Alina Nofer

DZIECIŃSTWO

Dzieciństwo moje chroniły przed światem
ciemne smugi prymulek
zamazujące okno.
Kwitły jak ojczenasze w rękach mojej babki.
Na szybach tańczył śmiech dzieci z podwórza
bezpiecznie umieszczany za szkłem.
Inaczej — brzegów sukienki
dotykał brud
długo zmywany lawendą.
Dziś — mała córeczko,
przyjęta do życia marszem sztandarów na Berlin
dzielisz „pieczątki" i stalówki
z dziećmi ojców poszerzających świat.
Wiem, że poważnie rozmyślasz:
kolega chce w Łodzi podnosić domy do gwiazd
i zalewać asfaltem ulice
jak stąd, do Warszawy.
A ty się martwisz
czy będzie dość miejsca dla parków i kwiatów,
na co on macha niecierpliwie ręką.
Domy — parki — i asfalt —
dzieci z podwórza wybiły szybę
między dzieciństwem twoim i moim.

SPROSTOWANIE.

W artykule T. Drewnowskiego „Na bocznicy rozwoju literackiego" (numer 13—14) w rozdziałku „Rozkłady jazdy", prostujemy dotkliwy błąd. Zdanie: „...ekspresjonizm jest stylem, który nie jest zdolny do wyrażenia innego poglądu na świat, niż egoistyczny", powinno brzmieć: „...innego poglądu na świat, **niż agnostyczny".**

Zygmunt Garbacik

DANIA PO WOJNIE

1. DLA ENTUZJASTÓW... ROZCZAROWANIE

ENTUZJASTĘ Danii i Duńczyków, który na podstawie dawnych studiów i obserwacyj wyrobił sobie pogląd na społeczno-gospodarcze stosunki w tym kraju spotkać może dziś pewne rozczarowanie.

Duńczycy, którzy uświadamiają sobie te zmiany tłumaczą je ujemnym wpływem okupacji, brakiem dóbr zaspakajających potrzeby w czasie wojny i po wojnie oraz rozczarowaniem jakiego doznano po wyzwoleniu, z którym wiązano nadzieje na powrót dawnego dobrobytu i wygód. Czy jednak takie tłumaczenie wyczerpuje zagadnienie? Wszak wiemy i Duńczycy sami wiedzą, że los obszedł się z nimi na ogół nieźle w porównaniu z innymi zniszczonymi wojną krajami, że mimo okupacji Dania w pierwszych latach po wojnie należała do najlepiej sytuowanych narodów świata. Braki, które odczuwa ludność są daleko mniejsze niż w innych krajach. Czy zresztą mogłyby one wytrącić z równowagi dzielny naród duński?

Przyczyn tych zmian trzeba szukać głębiej — tkwią one niewątpliwie w ogólnych społeczno-kulturalnych przeobrażeniach Danii, które zostały zapoczątkowane już dawniej, a po wojnie uwydatniły się bardziej wyraziście

Już w artykułach przedwojennych na tematy duńskie wskazywałem, że po okresie wielkiej i godnej podziwu pracy w drugiej połowie dziewiętnastego i z początkiem dwudziestego wieku naród duński popadł w stagnację. Uniwersytety ludowe, życie organizacyjne, spółdzielczość i inne wspaniałe instrumenty rozwoju spełniwszy swą zasadniczą rolę traciły powoli na znaczeniu, przestawały działać ożywiająco w takim, jak dawniej stopniu. Mimo dominującej spółdzielczości dobrobyt, jaki uzyskano na zasadzie egoistycznego bogacenia się, stawał się w coraz wyższej mierze najistotniejszym i jedynym celem zabiegów. Tyczy to szczególnie chłopów duńskich, choć i w miastach nie było wiele lepiej. „Można powiedzieć wiele dobrego o chłopie duńskim, pisze na łamach „Information" pewien Duńczyk, słabością jego jednak jest to, iż nastawiony jest egoistyczno-materialistycznie".

Pamiętamy z historii ciężkie i bohaterskie zmagania Duńczyków z pruskim najeźdźcą w roku 1864. Żywe wspomnienie tych walk zachowało się do dziś jeszcze wśród ludności południowo-jutlandzkiej. Jakże jednak daleko odeszli dzisiejsi Duńczycy od swych bohaterskich przodków. Gdy Hitler podbijał systematycznie jeden kraj po drugim, Duńczycy nie myśleli poważnie o ewentualnej obronie swej ojczyzny, uważając to za bezcelowe i z zimną krwią przewidywali konieczność oddania Kopenhagi okupantowi, jeśli na to przyjdzie pora. Nie opłaca się obrona skoro jesteśmy narodem małym i słabym — rozumowali słusznie na pozór, lecz rozumowanie to miało pewien zasadniczy brak — brak doceniania czegoś więcej ponad pragnienie spokojnego życia i gospodarowania. Stąd też w czasie okupacji hitlerowskiej nie od razu i nie wszyscy stanęli do walki. Ruch oporu zaczął się w Danii naprawdę dopiero w roku 1943. Ale i wtedy obok sporej gromady gorących patriotów nie brakło już to jawnych już to cichych kollaboracjonistów i sympatyków nazizmu, poza tym przeważała bierność.

Bardzo symptomatyczna jest również sprawa rewindykacji terenów zdobytych przez Niemców w roku 1864. Duńczycy wolą dziś nie ubiegać się o przywrócenie im tych ziem, o które ongiś tak zawzięcie walczyli, obawiając się ewentualnego rewanżu i zakłócenia przyszłych stosunków z Niemcami. Na ten temat toczy się zawzięta dyskusja, przy czym jednak zwolenników rewindykacji jest stosunkowo niewielu. Wywołało to ironiczną uwagę pewnego Duńczyka: „czy nie lepiej byłoby byśmy dla świętego spokoju oddali od razu i pół posiadanej dziś Jutlandii?" Sprawa Szlezwigu jest już właściwie całkiem przesądzona przez samych Duńczyków: nie chcą jego przyłączenia. Nie mamy zamiaru krytykować ich stanowiska, wydaje się jednak, iż jest to objaw ujemnych przemian w życiu tego kraju.

Zahamowanie rozwoju społecznego, o którym wspominamy, ujawnia się w niechęci do wszelkich idei bardziej radykalnych. Większość narodu duńskiego skupia się wokół partii wstecznych i koserwatywnych. Jedna z silniejszych partii Venstre, czyli „lewica", była kiedyś partią postępową, nic jednak przez wiele lat nie postąpiła naprzód i dziś należy do bardziej konserwatywnych partii niż sami konserwatyści. W konserwatyźmie tkwią również duńscy socjal-demokraci, którzy gubią się w niezdecydowanym i zachowawczym programie. Jedyną partią lewicową bez cudzysłowu są komuniści, którzy bezpośrednio po wojnie znacznie rozszerzyli swoje szeregi.

Jałowość życia politycznego przeplatana jest niekiedy nicią pacyfistyczną. Duńczycy chętnie dyskutują na tematy międzynarodowe i bliska jest im idea współpracy narodów. Ale ci pacyfiści duńscy, podobnie jak ich współwyznawcy z zachodu nie dostrzegają, lub nie chcą dostrzegać tej prawdy, iż warunkiem realizacji głoszonych przez nich idei jest zrównanie stopy życiowej narodów, które miałyby być zjednoczone. O tym jednak nie chcą nawet pomyśleć, gdyż z tym łączyłoby się obniżenie ich własnego standartu życia.

Do rzędu omawianych symptomów należy kryzys uniwersytetów ludowych i w ogóle zagadnienie młodzieży. Po wojnie słychać było skargi wielu kierowników tych placówek wychowawczych na brak kandydatów. Sławna kopenhaska Borupshoiskole świeciła jeszcze w zeszłym roku pustkami. Młodzież nie garnie się jak dawniej do oświaty i do poważnych zajęć kulturalno-społecznych. Zmienił się styl jej życia, a na pierwszy plan wysuwa się dziś kino i inne tego rodzaju rozrywki.

Spółdzielcy duńscy, zajmujący się sprawami oświatowo-wychowawczymi skarżą się na trudne do pokonania warunki tej pracy. Czy nie jest to jednak potrosze wynikiem specyficznego nastawienia spółdzielczości duńskiej? Wspaniale rozbudowana spółdzielczość rolnicza stała się zwykłą rutyną, pozbawioną w dużej mierze cech społecznych. Osiąga ona piękne rezultaty technicznej współpracy, ale na tym też się kończy. Nie istnieje tutaj akumulacja kapitałów społecznych, całość bowiem nadwyżek, a w razie likwidacji także i majątku spółdzielni idzie do kieszeni członka indywidualnego. Nie ma tutaj instytucji niepodzielnego funduszu społecznego, który tak nierozłącznie wiąże się z naszym pojęciem ruchu spółdzielczego. Z nadwyżek nie przekazuje się żadnych sum na cele oświatowo-kulturalne, jak tego chcieli rozdzelczycy.

Takie nastawienie ruchu spółdzielczego Danii zbliża go bardzo do przedsiębiorstw kapitalistycznych. Stąd też chłop duński mimo swej wrodzonej skłonności do asocjacji gospodarczej nie wyzbył się podstawowych cech kapitalistycznego przedsiębiorcy. Decydującym momentem, który skłania go do wiązania się w stowarzyszenia jest przewidywana korzyść materialna i nic poza tym. Tego rodzaju cechy duńskiej spółdzielczości nadają jej specyficzny charakter, utrudniają tworzenie się z rozproszonych gospodarstw indywidualnych, społecznej, zwartej organicznie zbiorowości, unicestwiają proces uspołecznienia. Dlatego też zachowując w pełni respekt dla materialnych osiągnięć spółdzielczości duńskiej nie możemy uznać jej za pełny wzór do naśladowania. W ruchu spółdzielczym widzimy bowiem coś więcej ponad techniczno-organizacyjną formę gospodarczą.

Inne nieco zasady spotykamy w spółdzielczości nierolniczej, zwłaszcza robotniczej. Właśnie różnice ideologiczne są przyczyną tego, iż do dzisiaj nie ma ściślejszej współpracy między tymi odłamami ruchu spółdzielczego. Zagadnienie to, jak w ogóle zagadnienie „uspołecznienia" spółdzielczości duńskiej poczyna jednak powoli docierać do świadomości duńskiej, co pozwala mieć nadzieję na odrodzenie ruchu.

2. HISTORIA UTRACONEGO RAJU

Już z tych krótkich uwag widzimy, iż stan w jakim Dania dzisiaj znajduje się, nie jest tylko wynikiem szkodliwego oddziaływania okupacji niemieckiej. Obserwując baczniej życie społeczne Danii odnosi się wrażenie, iż dawne ośrodki i źródła regeneracji przestały dość skutecznie działać, a nie zostały zastąpione przez coś nowego. Stąd stagnacja, a nawet cofanie się pod pewnymi względami. Zdają sobie sprawę z tego niektórzy Duńczycy zwłaszcza ci, którzy wyszli z ruchu oporu. Dlatego też tak skrzętnie gromadzi się wszelkie przejawy akcji konspiracyjnej gloryfikując bohaterstwo i sens walki z okupantem. W celu poruszenia i ożywienia tych szerokich mas poszukuje się nowych haseł i celów. Nurty stąd płynące tchną istotnie największą świeżością. Widać to z rozmów z tymi ludźmi i ich publikacyj. Ich organ codzienny „Information", który politycznie nie ma wyraźnie ustalonego charakteru, jest mimo to najbardziej żywym pismem, z którego nie przebija czczość i nuda jak z wielu innych, wielkich dzienników. Być może, iż ruch ten zatoczy szersze kręgi i utrzymując swą niezależność i śmiałość koncepcyj stanie się istotnym współczynnikiem odrodzenia Danii.

Zagadnienie komplikuje się jednak znacznie dzięki trudnej i przymusowej sytuacji kraju w dziedzinie polityczno-gospodarczej. Minister Rasmussen mówił przez radio w maju roku ubiegłego o konieczności uwolnienia Danii pod względem ekonomicznym, finansowym i wojskowym, od zależności od innych mocarstw, którą przyniosła wojna, stawiając to za najważniejszy cel duńskiej polityki zagranicznej. Zależność ta jednak istniała już dawniej, obecnie zaś przybrała tylko wyraźniejsze kształty. Sprobujemy na paru przykładach zilustrować te problemy.

Gospodarczo wyszła Dania na ogół obronną ręką z okupacji hitlerowskiej. Poza częściowym wypompowaniem jej zasobów przez okupanta nie było tam poważniejszych zniszczeń ani większych strat w ludziach. Aparat przemysłowy został zachowany w całości. Dzięki temu Duńczycy rychło mogli przejść do normalnej produkcji pokojowej, która jeśli chodzi o przemysł przekroczyła już dzisiaj poziom przedwojenny. Skąd więc mowa o trudnościach gospodarczych?

Nie ma tu miejsca na szczegółową analizę tych zagadnień, dlatego też pozwolę sobie odesłać zainteresowanego czytelnika do mej książki „Wieś duńska dawniej i dziś" wydanej nakładem Studium Spółdzielczego UJ w Krakowie (1946). W zakończeniu tej książki pisałem: „pytanie jest jednak, czy dotychczasowe główne rynki zbytu duńskich produktów rolnych przede wszystkim Anglia będą w dalszym ciągu tak chłonne jak dotąd i czy Duńczycy zdołają w razie potrzeby rozszerzyć swój zbyt na nowych odbiorców? Dalszy rozwój Danii jest więc pod znakiem zapytania..." By to w pełni zrozumieć musimy sobie uzmysłowić, iż Dania zawdzięcza swój dobrobyt przede wszystkim rolnictwu, które co roku dostarcza wielkich ilości dóbr na zbyt zagranicą. Fundusze stąd uzyskiwane dawały podstawy rozbudowy rodzimego przemysłu. W roku 1939 wywieziono 57 proc. produkcji rolniczej, która wynosiła wówczas około 2 miliardy koron *) Trzy czwarte duńskiego eksportu w ogóle (1.578 mil. kor.) to był eksport rolniczy. Dzięki intensywnej produkcji rolnej Dania miała największy handel zagraniczny na świecie w przeliczeniu na głowę ludności.

Przypatrzmy się jednak bliżej pozycjom tego wywozu: w roku 1939 na sumę eksportu rolniczego składały się w 43 proc. produkty mleczarskie (masło), w 39 proc. bekon i mięso wieprzowe, w 12 proc. jaja, reszta zaś (6 proc.) przypada na konie, nasiona itp. Widzimy więc, że głównymi artykułami eksportowymi są masło, bekony i jaja. Jakiekolwiek zachwianie koniunktury na jeden z tych artykułów, zwłaszcza na dwa pierwsze, grozi poważnymi zaburzeniami w gospodarstwie duńskim, które samo jest zdolne wchłonąć tylko stosunkowo drobną ich część. O ileż szczęśliwsza jest sąsiednia Szwecja, której wielki eksport przemysłowy rozkłada się na wiele wyspecjalizowanych artykułów. Wynika stąd silne uzależnienie Danii od fluktuacyj na rynkach światowych, tym silniejsze, że chodzi tutaj o produkty, w których jest wielka konkurencja innych krajów rolniczych. Ale nie na tym koniec.

Te trzy główne artykuły eksportowe wywoziła Dania do dwu krajów: do Anglii i do Niemiec. Anglia odbierała prawie wszystek bekon oraz około 2/3 masła. Mniejsze ilości masła oraz inne produkty importowały Niemcy. Inne kraje nie odgrywały w tym względzie istotnej roli. Wynika stąd wybitna zależność Danii od tych dwu krajów, przede wszystkim zaś od Anglii. Duńczycy odczuli to w przykry sposób już w czasie kryzysu w latach trzydziestych, kiedy Anglia wprowadziła reglamentację importu dając duże przywileje konkurentom Danii — swoim dominiom.

Jest rzeczą oczywistą, iż stan ten uległ dalszemu pogorszeniu w wyniku ostatniej wojny. Przede wszystkim odpadłu Niemcy jako rynek zbytu i sądzić należy, iż długo jeszcze nie będą mogły być brane w rachubę w tym stopniu jak przed wojną. Pozostała Anglia jako główny odbiorca, ale już nie ta sama Anglia co przed wojną. Nie jest to już kraj, który za odsetki od wielkich kapitałów ulokowanych zagranicą mógł zaopatrywać swą ludność we wszelkie artykuły, nie targując się miesiącami i latami o ceny i nie licząc się zbytnio ze zbilansowaniem swego handlu zagranicznego. Anglia musi dziś czynić wszystko by móc eksportować, bo tylko w ten sposób może otrzymać potrzebną jej żywność. Eksportować lub zginąć, oto modne dziś hasło angielskie. Anglia nie może sobie pozwolić dziś na wybitnie ujemny bilans handlowy z Danią, jak to było przed wojną.

3. ANGLIA ROZWIEWA DUŃSKI SENTYMENTALIZM

Dzisiejsze stosunki handlowe obu krajów opierają się na układzie z roku 1945. Interesujące uwagi na ten temat czytamy w czasopiśmie ekonomiczno-rolniczym wydawanym w Kopenhadze (Nr 1. 1947): „Współpraca z Anglią wznowiona została przez Danię z pewną sentymentalnością i nadziejami bez uzasadnienia, a przecież Anglicy są kupcami, którym wszelka uczuciowość jest obca... Powinniśmy byli zrozumieć, iż jak długo nasze gospodarstwo jest tak ściśle zależne od Anglii nie możemy tu w kraju oczekiwać utrzymania istotnie wyższego standartu życiowego od angielskiego"... W innym zaś miejscu czytamy skargi, iż Anglia monopolizuje i centralizuje swe zakupy, gdzie tylko można, podczas gdy odżegnuje się od tej metody, gdy idzie o sprzedaż jej własnych produktów, powołując się na wolność eksportu w wolnym kraju. Cytaty te będą bardziej zrozumiałe, gdy przyjrzymy się bliżej treści układu i metodom postępowania Anglii.

Według wspomnianego układu Duńczycy mieli dostarczać masło do Anglii najpierw po cenie 4.38 kor. za kg, później zaś (od 1. 5. 1946) w cenie 3.62. Anglicy świetnie wykorzystali swą sytuację w stosunku do Duńczyków, którzy dając się ponieść nastrojom wyzwolenia przyjęli na siebie niemożliwe do wykonania zobowiązania. Zniżka cen masła, jaka miała nastąpić tłumaczy się mylnym przewidywaniem wzrostu produkcji i potanienia jej przez dowóz tanich surowców (makuchy) W drugiej połowie roku 1946 Danii udało się wytargować od Anglików cenę 4.19 za kg, podczas kiedy w tym samym czasie inne kraje płaciły znacznie więcej: Rosja 4.71, Polska i szereg innych krajów 6.00, a Finlandia za pewne partie masła płaciła nawet 8.00 koron.

Łatwo sobie wyobrazić irytację chłopów duńskich, zwłaszcza, że Anglia miała dla siebie zastrzeżone — 62,5 proc. z pierwszych 73.000 ton masła przeznaczonego na eksport a 90 proc. z dodatkowych ilości. Nie mogła więc Dania wykorzystać dogodnych warunków zbytu w innych krajach. By utrzymać produkcję masła na poziomie możliwym do osiągnięcia w danych warunkach rząd duński zmuszony był dopłacać chłopom do cen uzyskiwanych przez nich, co znów wywoływało ostrą krytykę ludności miejskiej.

Na tematy cen wszczęto dyskusję w jesieni 1946 roku. Rokowania te trwały z przerwami przez cały rok 1947 dając bardzo nikłe rezultaty i o ile mi wiadomo, do dziś jeszcze nie osiągnięto porozumienia. Anglicy są nieustępliwi, żądają obniżenia kosztów produkcji, wskazują na ceny krajowe utrzymywane ze względów polityki wewnętrznej na dość niskim poziomie. Widać tutaj podwójny system polityki angielskiej: sami w kraju dopuszczają cenę mleka 0,5 kor. podczas, gdy Duńczykom zabraniają podnieść ją u siebie powyżej 0,3 kor. za 1 litr i wskazują na konieczność oszczędnej produkcji.

Najbardziej irytuje Duńczyków to, iż Anglicy ustalając minimalne ceny dla produktów Danii zastrzegają się arbitralnie, iż rozmowy na temat porozumienia mogą łączyć się z kwestią cen towarów przez nią eksportowanych. Wytworzyła się skutkiem tego dysproporcja między cenami duńskiego eksportu i importu, powstały tzw. nożyce cen. Za towary sprowadzane z Anglii Duńczycy płacą stosunkowo więcej niż otrzymują za swe produkty w tym kraju zbywane. Ponadto Dania musiała niekiedy brać również towary drugorzędnego znaczenia, podczas gdy daleka jest od nasycenia towarami najpilniejszymi.

Ten niekorzystny stosunek cen w handlu z Anglią, jak również konieczność uzupełnienia składów wyczerpanych przez wojnę, przez zwiększony import, a wreszcie spadek eksportu rolniczego — to główne przyczyny wielkiego niedoboru w bilansie zagranicznym Danii. Jesienią roku ubiegłego nadwyżka duńskiego importu nad eksportem wynosiła 766 milionów koron, przy czym następne miesiące przyniosły dalsze jeszcze pogorszenie tego stanu. Anglia dawała pewną pomoc w formie kredytu, kazała sobie jednak drogo za to płacić różnymi koncesjami, a przede wszystkim tanim eksportem. Duńczycy nie są zresztą entuzjastami pożyczek zagranicznych, obawiając się, iż spłata kapitałów i odsetek może w przyszłości odbić się ujemnie na stopie życiowej ludności w wypadku zniżek cen, co na dłuższą metę jest prawdopodobne, wiąże się z tym ryzyko, iż trzeba będzie znacznie więcej towarów oddać kiedyś niż się ich dziś otrzymało.

4. LISTA WEWNĘTRZNYCH POWIKŁAŃ

Poza wzrostem cen eksportowych dalszym środkiem zwalczania niedoboru bilansu zagranicznego byłoby zwiększenie wywozu. Nie jest to jednak obecnie możliwe w stopniu zadowalającym. Eksport rolniczy, który stanowi gros wywozu, utrzymuje się ciągle jeszcze na poziomie znacznie niższym od przedwojennego. Jest to następstwem spadku produkcji rolniczej w czasie wojny na skutek braku pasz. Jeśli rok 1935 przyjąć za 100 wówczas wskaźnik ten za rok 1942 wynosi 55, a za rok 1946 — 77. Wskaźnik ten odnosi się do produkcji hodowlanej, która jak widzieliśmy stanowi 95 proc. ogółu eksportu rolniczego. Ostatni rok przyniósł ogólną nieznaczną poprawę pod tym względem, w niektórych jednak działach stan raczej doznał pogorszenia.

Duńska produkcja hodowlana opiera się w dużej mierze na imporcie pasz, areał bowiem Danii nie stanowi dostatecznej podstawy, dla intensywnej hodowli. Tymczasem i po wojnie dowóz pasz, zwłaszcza makuchów jest bardzo utrudniony, a te ilości, które są do dyspozycji nabyć można tylko po wygórowanych cenach, które zresztą podbijają sami Anglicy przez swe spekulacje. Np. zakupili oni cały zapas makuchów w Argentynie i później na komisji rozdzielczej w Waszyngtonie stawiali takie ceny, iż nie było wielu reflektantów — sami więc wykorzystali je do produkcji w swoim kraju.

Na ograniczenie produkcji hodowlanej, a zwłaszcza w dziedzinie mleczarstwa wpływa również ujemnie brak i drożyzna rąk roboczych w rolnictwie. Ucieczka ze wsi do miasta nie jest nowym zjawiskiem. Po wojnie przybrała silniejsze rozmiary. Chłopi chcąc zatrzymać siłę roboczą na wsi zmuszeni są systematycznie podwyższać płace, które w ostatnich czasach wzrosły znacznie szybciej niż ceny. W okresie wojny (1939—45) ceny wzrosły o 89 proc. a płace o 106 proc. W następnych latach ta dysproporcja we wzroście płac i cen była znacznie większa. Parobek duński w wieku 17—20 lat, który w roku 1938-39 zarabiał 793 kor. rocznie (oprócz mieszkania i utrzymania) otrzymuje dziś w pieniądzu prawie cztery razy więcej. Pod wpływem pełnego zatrudnienia i większej atrakcyjności życia miejskiego płace w rolnictwie śrubowane są systematycznie w górę i zbliżają się powoli do poziomu płac w przemyśle.

Na tym tle widzimy jasno w jak trudnej sytuacji znajduje się rolnictwo dzisiejszej Danii, przed którym piętrzą się duże trudności: nieproporcjonalnie niskie ceny eksportowe do Anglii, brak dostatecznej ilości pasz oraz ich wysokie ceny, brak rąk roboczych i wysoki koszt robocizny, trudność rozszerzenia zbytu na inne stałe rynki poza Anglią, wybitna zależność od koniunktur światowych itd.

W tej sytuacji jedynym najbardziej skutecznym środkiem zaradczym jest daleko idące ograniczenie spożycia wewnętrznego, celem uzyskania w ten sposób większej sumy towarów na eksport, zmniejszenie importu i zdobycie oszczędności na inwestycje. Późną jesienią 1946 opracowano wielki plan oszczędnościowy na rok 1947. Wprowadzono dalszą reglamentację w całym szeregu towarów, rozszerzono ją na nowe dobra dotąd racjonowaniem nie objęte. Niestety, jednak plan ten zawiódł. Zakomunikował o tym duński minister handlu stwierdzając, iż plan ten wykazał 200 mil. kor. deficytu. W drugiej połowie ubiegłego roku przyszły więc dalsze ograniczenia spożycia kawy, herbaty, tytoniu, mąki pszennej i tym podobnych towarów, których racje już dotąd znacznie były uszczuplone. Dania bowiem wykazuje bardzo wielką skłonność do konsumowania. Gdy produkcja ogólna kraju była w roku 1946 około 8 proc. niższa niż w r. 1939, konsumcja kształtowała się na poziomie tylko o 2 proc. niższym.

*) Kurs przedwojenny: 100 koron = 116 zł.

Zdzisław Skwarczyński

Jak wychowywał Kipling?

„STALKY i SPÓŁKA" Kiplinga cieszy się u nas od dość dawna ustaloną sławą. Widziano w tej książce niefrasobliwą opowieść o życiu szkolnym młodzieży angielskiej, czyniono z jej bohaterów wzory tężyzny moralnej i fizycznej, zalecane do naśladowania. Autor umiejętnie apelował doborem sytuacji i potoczystością narracji do upodobań młodzieży, starszych zaś czytelników wiązała z książką nić dziwacznego sentymentu dla dzieciństwa, możliwość zastępczego wyżycia zahamowanych już skłonności. To była zabawna i przyjemna lektura. Radzi przebywaliśmy w magicznym kole środowiska szkolnego i jego bohaterów — to też zazwyczaj rozdział ostatni powieści rozczarowywał nas a napomknienia autora o sprawach życiowo donioślejszych, szczególnie w rozdziale tym zagęszczone, uważaliśmy za niewłaściwość artystyczną, rzecz na którą należy przymknąć oczy, jak zakochani w złudzeniach przymykają oczy na prozę życia.

A jednak, jeśli nawet ulegaliśmy bezkrytycznie czarowi powrotu w kraj dzieciństwa istniał w lirycznym finale ostatniego rozdziału jakiś ton fałszywy w stosunku do tego co wyznaczały nasze przeżycia wyniesione z lektury rozdziałów poprzednich. W odrębny, wydawałoby się, autonomiczny świat fikcji wdzierają się głosy ludzi z określonej formacji kulturowej, określonej epoki i szerokości geograficznej. Tak, to napewno nie jest

Rudyard Kipling

pochwała każdej młodości i młodzieży, jakiejkolwiek szkoły i pedagogiki. Czyżby zgrzyt był przypadkowym, wynikającym jak to zarzucono, z niedołęstwa autora, naruszeniem harmonii estetycznej? Sprawdźmy, czy raczej nie towarzyszył on dyskretnie hymnowi pochwalnemu od samego początku pod koniec dopiero rozbrzmiewając w pełni.

Czytajmy tedy książkę od końca jakby, bowiem najwięcej wskazówek w naszych poszukiwaniach dostarczy nam ów zgrzytliwy rozdział końcowy z jego scenerią, pokazaną po latach rewią bohaterów, tematyką ich rozmów, a nawet komentarzem dekonspirującego się autora. Odbywa się zjazd koleżeński byłych uczniów.

Oto młody arystokrata, który odziedziczywszy baronię z ogromnymi dochodami i wystąpiwszy z wojska pędzi żywot bogatego ziemianina, aranżuje zjazdy dawnych kolegów szkolnych, tworząc z mecenasowskim gestem jakby stałą instytucję, podtrzymującą więzy i tradycję wspólnej szkoły i wspólnej służby.

„Była to wesoła wieża Babel, mieszanina spraw osobistych, prowincjonalnych i dotyczących całego imperium, fragmenty starych list apelu, pomieszane z nowinkami politycznymi..." „Był tam łysawy zniszczony kapitan piechoty hinduskiej, dygocący z febry poza swym olbrzymim czerwonym nosem — a nazywał się kapitan Dickson. Był drugi kapitan, także z piechoty hinduskiej z jasnym wąsem; twarz miał porcelanowo białą, a ręce wątłe, ale odpowiadał wesoło, gdy go wołano Tertius. Był tam też człowiek olbrzymi i wyglądający wytwornie, a który prawdopodobnie nie widział pola już od lat, starannie ogolony, cicho mówiący i mający w sobie coś kociego, zawsze ten sam stary Ebenezar, mimo iż był chlubą Indyjskiej Służby Politycznej; a dalej był tu też chudy Irlandczyk, o twarzy niebiesko-czarnej od opalenia pod różnymi słońcami Departamentu Telegraficznego..."

Ze wspomnień tych ludzi wyłania się napowrót postać bohatera tytułowego, nieobecnego na zjeździe Stalky'ego. „Jednym z największych ludzi swego wieku" nazywa go któryś z przyjaciół. Czytelnik usiłuje dociec na czym polega tytuł do tej wielkości. Nie uzasadniają go naszym zdaniem bohaterskie awantury bojowe Stalky'ego na wiecznie buntującym się pograniczu Indyj ani „wspaniałe" stosowana taktyka kłócenia przeciwników, a nawet wydaje nam się to dosyć wątpliwą pochwałą, choć tak bardzo licuje z brytyjską polityką wygrywania antagonizmów. Czyżbyśmy coś może w utworze przegapili? A może źródłem niezrozumiałego dla nas podziwu dla Stalky'ego jest tylko sentyment dawnych towarzyszy psot i figlów szkolnych? To jest niewątpliwie dużo, ale chyba nie wszystko.

Nieobecny Stalky reprezentuje coś więcej, niż sama szkoła i lata w niej spędzone w sensie negatywnym. On jeden prawie w mniemaniu obecnych reprezentuje w czystej, nieskażonej postaci pozytywny styl życia, on jeden urzeczywistnia go w pełni swoim postępowaniem. To pierwsze źródło żywionego dlań podziwu. Tego też chyba miał dowieść Beetle — Kipling w swej opowieści.

Nie jest to jednak sprawa tak prosta jakby mogło się wydawać. Obecni na „zjeździe" dobrani są według specjalnego klucza. Więzy łączące ich są ciaśniejsze niż dość przypadkowa przynależność do tej samej klasy ze wspominanej z łezką rozrzewnienia szkoły. Tworzyli oni w jej łonie wyodrębnioną wyraziście „swoją paczkę", zamknięty krąg zabawowy. Już w szkole wyrastali ponad nią w bardzo specyficzny sposób. To są właśnie tropy, na które naprowadza Kipling.

Kilka słów należy się jednak przede wszystkim samej szkole. Jest to właściwa systemowi angielskiemu szkoła zamknięta. Doświadczenia i czynności — jak charakteryzuje ten typ Znaniecki w swej „Socjologii wychowania" — są tu w zasadzie odmienne od doświadczeń pozaszkolnych. Materiał przyswajany jest tu narzucony. Uczeń odizolowany jest od kontaktu kulturowego ze społeczeństwem w granicach przyswajanej wiedzy i umiejętności. Metody przyjmowania nauki, które grupa szkolna narzuca uczniowi, opierają się na przypuszczeniu, że sytuacja, którą uczeń znajduje w szkole jest całkowicie i wyłącznie przystosowana do potrzeb i zadań uczenia się, że uczeń ma dany sobie cały, objektywny materiał i narzędzia, niezbędne do osiągnięcia tych wyników, jakie osiągnąć się powinno i że „od niego tylko zależy", by żadne obce danej sytuacji zainteresowania i dążenia nie stanęły na przeszkodzie urzeczywistnieniu jego przypuszczalnego zamiaru nauczenia się danego przedmiotu. Szkoła taka chętnie stosuje szablon pedagogiczny, niweczy wielostronność osobowości uczniów. W tych specyficznych warunkach nauczyciel wychowawca staje się coraz to mniej atrakcyjnym wzorem osobowym.

Otóż w kolizji z takimi to założeniami wychowawczymi i z taką szkołą znajduje się przez ciąg całej powieści Stalky i jego towarzysze, ich krąg zabawowy. Początkowo bunt jest bardzo naiwny. Wszystkie psikusy, organizowane przez Stalky'ego i jego towarzyszy, dadzą się zredukować do kilku podstawowych sformułowań socjologii wychowania. A więc, że powstawanie dążności buntowniczych jest nieuniknionym wynikiem procesu wychowania. Kierunek, jaki dorośli usiłują nadać działalności młodocianych osobników ze względu na ich przyszłą rolę społeczną zwykle nie odpowiada spontanicznemu rozwojowi osobowości dziecka lub młodzieńca i rzeczywistym jego zainteresowaniom. Dlatego to właśnie na marginesie swoiście zorganizowanego życia społecznego młodzieży w szkole powstają samorzutnie tworzące się grupy rówieśników. Wychowawczo osiągają one te same cele, co w wychowaniu kierowanym przez dorosłych, ale w sposób bardziej naturalny, nie niweczący w osobowości jej indywidualnych uzdolnień. Między innymi dziecko w tak zorganizowanej grupie podlega procesowi uspołecznienia na drodze pełnego uczestnictwa, całkowicie równouprawnione, uczy się władać i podporządkowywać na zasadzie rówieśniczo uznanej wyższości.

Taki właśnie krąg tworzy Stalky i towarzysze. Obserwujemy wewnątrz tego kręgu specyficzne nastawienie wobec władzy szkolnej, t.zn. wobec kilku pedagogów i instytucji, tworzonych przez nich na użytek młodzieży szkolnej. Paczka Stalky'ego stanowi jakby odrębny, nieprzewidziany w organizacji szkoły ośrodek krystalizacyjny młodzieży. Występują wyraźnie kolizje między przodownikami najzdolniejszymi z punktu widzenia potrzeb starszych i przez nich popieranymi a najbardziej buntowniczymi, którzy w społeczeństwie młodocianych mają najwięcej szans na przywództwo.

Pozornie ma to wszystko charakter dość błahy, wyczerpujący się w ramach problematyki szkolnej, problematyki wychowania. W istocie jednak jest wstępem do problemów większej wagi, grubszego kalibru.

Podjazdowa walka z systemem szkolnym, z jego bezkrytycznymi wykonawcami nie powinna nas łudzić. Jednym z poważniejszych ciosów, jaki zadaje Beetle (z paczki Stalky'ego) ośmieszonemu wychowawcy Kingowi, jest drwina z jego narzekań na „materialistyczną ignorancję nieoświeconej burżuazji, ubiegającej się wyłącznie o stopnie". Takiej refleksji możemy spodziewać się raczej po dojrzałym człowieku, niż po bezkrytycznym wychowanku internatu. Zawiera ona bowiem zbyt wiele świadomości społecznej. I to jest chyba jeden z najwłaściwszych tropów wiodących do zrozumienia powieści. Dojrzałemu też niewątpliwie pisarzowi, nie jego wspomnieniom, zawdzięczamy chyba inne a również podobne wzmianki i informacje o charakterze szkoły. Dotyczą one właśnie maskowanego przez dorosłych i system wychowania właściwego kontekstu społecznego i kulturowego w jakim angielska szkoła wtedy tkwiła.

Szkołę założyło anonimowe towarzystwo akcyjne dające cztery od sta. Celem jej było przygotowanie młodzieży do uczelni wojskowej. W radzie nadzorczej towarzystwa widzimy generała, a całemu przedsięwzięciu patronują konserwatyści.

To jest reżyseria i kulisy sceny, po której poruszają się mali aktorzy powieści.

Bunt przeciw tej reżyserii stanowi punkt kulminacyjny utworu. Krąg zabawowy Stalky'ego i towarzyszy, powstały z naiwnego, ślepego przeciwstawienia się mechanizmowi szkoły zamkniętej, jej metodom i wychowawcom, nabiera znaczenia społecznego. Mam tu na myśli „zabawę w korpus kadetów". Podjęta przez młodzież prawie spontanicznie zyskuje szybko patronów, którzy chcą wciągnąć ją w ramy swej reżyserii, poddać regulaminowi szkolnemu, młodzież umundurować i wyprowadzić na popisy zewnętrzne, dorobić do zabawy wyższe racje, racje patriotyczne. Młodzież to wszystko przyjmuje drwinami, zabawę porzuca. Czyżby to był protest przeciw militaryzmowi? Czyżby w tych scenach znany gloryfikator imperializmu angielskiego, Kipling, odsłaniał swe drugie antyimperialistyczne oblicze?

Nic podobnego. Jest to tylko odmienny pogląd na mechanizm społeczny. Cele zostają te same. Ostatecznie przecie ci wszyscy młodzieńcy, buntujący się przeciw reżyserii generałów i konserwatystów, zostają wojskowymi, podejmują te same zadania, jakie wyznaczała im rodzima ówczesna pedagogika tradycyjna, a nawet realizują ideał pedagogiczny z **nadwyżką.**

Otóż **o tę nadwyżkę właśnie idzie Kiplingowi.** Do głosu dochodzi moment dziejowy, sytuacja, w jakiej znajduje się imperium.

Kiedy dzięki reżyserii rady nadzorczej i sfer patronujących szkole wybiera się Raymond Martin z wizytą do chłopców, bawiących się w wojsko, Kipling tak go przedstawia nieco ironicznie:... „był członkiem parlamentu, człowiekiem jak najlepszej chęci, inteligentny a przede wszystkim wielki patriota, pragnący zrobić jak najwięcej dobrego w jak najkrótszym czasie... Mąż ten wyjeżdżał właśnie na zachód wnieść trochę światła w jakiś ciemny okręg wyborczy. Czy nie byłoby dobrze, gdyby zbrojny w rekomendacje generała i wziąwszy za temat ten przedziwny, nowopowstały korpus kadecki powiedział parę słów ot po prostu, pogawędził trochę z chłopcami, co? Pan wie co oni lubią, a to właśnie człowiek jakiego tam potrzeba... Już on im do serca przemówić potrafi, może pan być pewny. — zwraca się inicjator tej wyprawy do jenerała.

— Za moich czasów nie trzeba było do nich dużo mówić — odpowiedział jenerał nieufnie.

— Ale czasy się zmieniają — w miarę jak się szerzy oświata i tak dalej. Dzisiejsi chłopcy, to jutrzejsi mężczyźni. Czym skorupka za młodu nasiąknie... Zwłaszcza, rozumie pan jenerał, w tych czasach, kiedy kraj schodzi na psy!

— Co do tego masz pan zupełną słuszność! Wyspa rozpoczynała pięcioletni okres rządów Gladstone'a, już sam ich początek nie przypadł jenerałowi do gustu".

Bo Gladstone (po Disraelim) w przeciwieństwie do imperialistycznej po obrzeżach świata polityki Disraelego kierował ją na wewnętrzne stosunki społeczne W. Brytanii, zlekka je reformując. Czy okres ten przypadł Kiplingowi do gustu, że tak doszczętnie wydrwił przedsięwzięcie i występ konserwatywnego członka parlamentu? Nie! Ma tylko odmienną, jak mu się wydaje, lepszą receptę na te same bolączki państwowe. Uwaga o ciemnej burżuazji, ubiegającej się o stopnie, a lekceważącej w osobach swych młodych przedstawicieli tradycyjne, klasyczne wychowanie nie jest rzucona mimochodem. Ta nowa klasa społeczna dobija się o prawo do przejęcia kierownictwa nad imperium brytyjskim. Jest ona rezerwuarem nowych sił, sił niewyżytych, zdolnych sprostać zadaniom, jakie przed nią stoją. Tu leżą źródła uznania Kiplinga dla kręgu zabawowego Stalky'ego i spółki. W jego mniemaniu krąg ten był zdrową zarodnią odnowy społeczeństwa.

„Cooley charakteryzuje grupę dzieci jako typ grupy **pierwotnej** par excellence w tym znaczeniu, że jako grupa jest ona bezpośrednim objawem przyrodzonych zdolności tworzących ją osobników, że stanowi dla każdego z nich **pierwotne środowisko,** w którym przyczyniają się do czynnego społecznego współżycia, wreszcie, że podobną jest do tych **genetycznie pierwotnych** dziejów najwcześniejszych **grup — hord,** z których rozwinęły się wszelkie późniejsze i bardziej złożone społeczeństwa. W każdym pokoleniu na nowo odradza się spontanicznie ten typ stanowiąc (obok małej rodziny) wiecznie bijące praźródło życia społecznego ludzkości. Naturalnie ten charakter posiadają w pełni tylko grupy tworzone przez dzieci bez kierownictwa starszych". (Fl. Znaniecki — Socjologia wychowania I. W-wa 1928).

Kipling nie tylko podpisał się bez zastrzeżeń pod tym sformułowaniem poglądów na rolę młodzieży w społeczeństwie i znaczenie wykształconej w kręgu zabawowym indywidualności. Uznał ją za główną siłę społeczną. „Paczce" szkolnej i Stalky'emu oddał najwyższy hołd na jaki go było stać w rozdziale końcowym, hołd jak mówiliśmy — budzący zastrzeżenia. Ale nie o młodość i młodzież tylko chodzi. Kiplinga pasjonuje, acz czyni to jeszcze dość nieśmiało, problem klasy kierowniczej, klasy która dawała wojskowych. Od połowy zeszłego stulecia, jak pisał G. Orwell, każda wojna, w którą wdała się Anglia, rozpoczynała się szeregiem klęsk, po których sytuacja została wyratowana dzięki ludziom o **względnie niskim pochodzeniu społecznym.** Wyższe dowództwo, wywodzące się z kół arystokratycznych nie mogło nigdy unowocześnić metod prowadzenia wojny, gdyż przez to samo ci dżentelmeni zmuszeni byliby przyznać, że świat się odmienił. Otóż ten właśnie kryzys klasy kierowniczej wyczuwa wierny syn imperium Kipling. W tym sensie, choć łagodzi ostrze postulatów przez podkreślanie solidarności dawnych wychowanków internatu niezależnie od ich socjalnego pochodzenia — walczy o społeczne uznanie dla **militarnej, imperialistycznie nastawionej burżuazji,** której synowie służąc w wojsku i marynarce, rojąc się po lądach i morzach od Ykonu do Irrawady dojrzeli do kierowania imperium. Że zaś kierownictwo to i problemy społeczne podsumuje w swoisty sposób — to już inna historia, zawarta w „Księdze Dżungli".

Zabawne jak niepoinformowany czytelnik, mając przed sobą „Księgę Dżungli" i „Gody życia" Dygasińskiego, gotówby powiedzieć: „dwie książki na ten sam temat, dwie książki opiewające urodę natury". A tymczasem... Dygasiński, „polski naturalista", nauczyciel po dworach ziemiańskich, inaczej: inteligent w służbie tej klasy społecznej w swej dżungli nadprądnickiej widzi dwa tylko prawa: życia i śmierci, a bohaterem czyni mysikrólika, figurę jeśli tak rzec się godzi — zgoła niepozorną, podległą siłom przyrody, a nie stanowiącą jej praw.

Bohaterami Kiplinga jest Mowgli i wilcza gromada. Prawa dżungli Kiplinga stanowią drapieżniki. Różnice fabularne między tymi dwiema książkami odpowiadają ideowym treściom propagowanym przez pisarzy w odmiennych układach społecznych. Kipling wskazuje na możliwości życia w dżungli, kapitalistycznej dżungli, zwłaszcza zaś na jej imperialnych obrzeżach, **byle zachować prawa drapieżników.** Dygasiński wielbi wegetację szaraczków, których niepozorność obroni przed rozbójnictwem jastrzębia. Prawa puszczy nadprądnickiej są obezwładniające, podlegają im wszyscy i w tym tkwi rezygnacja Dygasińskiego z próby zrozumienia procesów społecznych kapitalizmu — odwrót w pierwotność. Jest w tej pedagogice wykonawcą szlachecko-inteligenckiego programu powrotu do tradycyjnych uroków dworku, poza hałasami rosnącego ekonomicznie kapitalizmu, poza głuchymi odgłosami wzbierających ruchów robotniczych i chłopskich.

„Księga Dżungli" Kiplinga to akurat na odwrót. „Dżungla" to uroki dalekich kontynentów, które W. Brytania podbiła, następnie eksploatowała i w tym procesie z konieczności coraz bardziej je technicznie i cywilizacyjnie dozbrajając, musi teraz znów je mocniej militarnie ująć. To pierwszy sens. A drugi — „Księga Dżungli" — to ta sama z początków XIX w. księga Smitha — wolnej konkurencji liberalnej, ale na dalekich lądach wymagająca odczytania jej ostatecznego — jako **księgi praw dżungli.** Kipling podsuwał burżuazji angielskiej system wychowawczy, jaki dla niej w tej fazie (koniec wieku XIX) był nie do wyminięcia. System ten zdala od Europy wyprzedził nietzscheański ideał nadczłowieka i późniejszy w tym stylu hitlerowski. Na dalekich lądach dwuwiekowa tradycja stosunku rasy wyższej do ras niższych pozwalała na dalsze eksperymenty według praw dżungli. Dla burżuazji znaczyły one tyle, co jej rozwój i jej dalsze panowanie.

SPROSTOWANIE

W związku z zamieszczeniem w 12 numerze „Wsi" wierszy wielkopostnych i mojej fotografii — chcę sprostować, iż notatka pod nią umieszczona jest nieścisła, gdyż recytowałem wtedy swoje wiersze nie w Kościelnej Górze pod Poznaniem, lecz w Tarnowie Podgórnym w kościele ewangelickim.

Następnie zaznaczam, iż w utworach p.t. „Koń bez grzechu" zamiast: „przyprzągł się do dyszla" (wiersz 39) winno być: „przetarł szkapie oczy", i p.t. „Niebieska kokarda" opuszczony został jeden wiersz, który powinien następować po słowach: „konwalije Matki Boskiej" i brzmieć: „malowane na błękitno".

Józef Ozga-Michalski

ADMINISTRACJA „WSI"

ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA ROCZNIKI „WSI" W OPRAWIE Z ROKU 1947.

CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOSI ZŁOTYCH 1.500.—

Stefan Szostkiewicz

Czytelnictwo młodzieży

I. CEL I METODY

Jednym z głównych postulatów badań nad zainteresowaniami i czytelnictwem jest stwierdzenie stosunku młodzieży do odpowiedniej tematyki literatury popularno-naukowej, poczytności literatury pięknej i ewentualnych zmian w zainteresowaniach spowodowanych wojną.

Badania prowadzone były przez Biuro Badania Czytelnictwa Spółdz. Wyd. „Czytelnik" na jesieni 1945 roku na terenie szkół średnich ogólnokształcących w czterech ośrodkach wielkomiejskich: Warszawa, Kraków, Katowice z Chorzowem i Łódź.

Jesienią roku 1945 badacze mieli do czynienia z młodzieżą, przebywającą w stosunkowo najlepiej zorganizowanych środowiskach — szkołach, świeżo po przeżyciach wojennych, a pochodzącą z dwóch różnych środowisk, powstałych skutkiem losów wojennych: z Warszawy i Krakowa — terenów okupowanych oraz Katowic i Łodzi — terenów anektowanych.

Podziału na środowisko wielkomiejskie i małomiasteczkowe czy wiejskie naskutek trudności, jakie nastręczałyby badania w środowiskach wiejskich w tym okresie, nie przeprowadzono.

Ogółem zebrano 5.684 wypowiedzi dziewcząt i chłopców łącznie, w ten sposób, że na każde miasto przypadła mniej więcej jednakowa ilość badanych.

Przy ustalaniu środowisk badanych, posługiwano się różnymi kryteriami, które zostały wzięte pod uwagę przy szczegółowych obliczeniach wyników.

Zasadniczym podziałem, który musi być uwzględniony przy tego rodzaju badaniach jest podział na płeć.

Dalej zastosowano podział topograficzny; przy wyborze miast kierowano się wpływem wojny na młodzież tam zamieszkałą. Liczbowo stosunek młodzieży, która spędziła wojnę na terenach okupowanych, a więc w o wiele lepszych warunkach kulturalno-oświatowych od młodzieży z terenów anektowanych przedstawia się następująco:

młodzież z terenów okupowanych	68,3%
młodzież z terenów anektowanych	30,0%
z innych	1,7%

Procent młodzieży wiejskiej był tak nikły (11,7%), że nie został wzięty w szczegółowych obliczeniach pod uwagę.

Poważne trudności wystąpiły przy ustalaniu środowiska społecznego badanych. Ze względu na to, że kwestionariusz ankiety wypełniały również dzieci dwunastoletnie, pytania musiały być sformułowane w ten sposób, żeby odpowiedzi nie nastręczały trudności i mieściły się w świadomości przeciętnie inteligentnego dziecka. Ostatecznie oparto się na zawodach rodziców. W tym celu utworzono trzy grupy środowiskowe, do których kwalifikowano badanych zależnie od poziomu wykształcenia, jakiego wymagał zawód rodziców. Stosunek liczbowy grup wygląda następująco:

I. Dzieci pracowników umysł. z wyższym wykształceniem (lekarze, nauczyciele gimnazjalni, prawnicy)	18,8%
II. Dzieci pracown. umysł. ze średnim wykształceniem (urzędnicy, nauczyciele szkół powsz., oficerowie)	38,5%
III. Dzieci pracown. fizycznych (robotnicy, niżsi funkcjonariusze, rzemieślnicy)	37,9%
Dzieci z nieustalonym zawodem rodziców	4,8%

Wiek badanych rozciągał się od dwunastu do osiemnastu lat. Najliczniejszą grupę stanowiła młodzież czternasto- i piętnastoletnia (8,9 proc. i 16,8 proc.), przytem roczniki młodsze były znacznie słabiej reprezentowane niż starsze Stosunek ten jest zrozumiały, wobec zapóźnień w nauce, jakie spowodowała wojna.

Ostatnim wreszcie kryterium był tak zwany wiek społeczny, czyli zaawansowanie w nauce. Tu młodsze klasy gimnazjum wykazują przewagę ilościową nad klasami starszymi. W drugiej klasie gimnazjalnej znajdowało się w czasie badań 33,5% badanych, natomiast w II licealnej zaledwie 6.7%. Ponieważ wiek uczniów II kl. gimnazjalnej wynosi przeciętnie 15 lat, zachodzi tu między wiekiem biologicznym, a społecznym zupełnie naturalna korelacja, natomiast niewielki odsetek uczniów II kl. licealnej dowodzi, że większość roczników ulokowała się w niższych klasach gimnazjalnych. Jak wskazują wyniki ankiety, wiek biologiczny odgrywał w zainteresowaniach i w czytelnictwie znacznie mniejszą rolę niż wiek społeczny.

Szkoły średnie jesienią 1945 roku zachowywały jeszcze tradycyjną przedwojenną formę Dwukrotna przewaga niemal uczniów ze środowiska inteligenckiego, minimalny procent ze środowiska wiejskiego i stosunkowo mało rozległe granice wieku studiujących stwarzały warunki możliwie zbliżone do przedwojennych. Szkoły ogólnokształcące obejmowały zresztą młodzież żyjącą w warunkach względnie ustabilizowanych, z niewielkimi opóźnieniami w studiach, a jednocześnie nie posiadającą specjalnie skrystalizowanych zainteresowań. Badania prowadzone w szkołach zawodowych musiałyby siłą rzeczy wykazać przede wszystkim zainteresowania techniczne o ściśle (zależnie od programu szkoły) wybranym kierunku.

Szkoły ogólnokształcące są więc ze względu na zagadnienie środowiskowe ograniczonym terenem badań, stanowią jednak przez swój niesprecyzowany, w odniesieniu do przyszłego zawodu program nauczania, interesujące pole dla badacza-eksperymentatora. Tylko w szkołach ogólnokształcących można uwzględnić między innymi wpływ wojny i warunków wojennych na kształtowanie się psychiki młodzieży.

II. WYNIKI BADANIA ZAINTERESOWAŃ

Odpowiedzi w liczbie 5.684 obliczono i uszeregowano w stosunku procentowym według rodzajów zagadnień i grup różnicujących.

Poniższa tabela przedstawia 10 najsilniejszych zainteresowań obliczonych w stosunku procentowym do ogółu odpowiedzi w tym sumy procentowe uzyskane dla chłopców i dziewcząt, gdyż w tych grupach zaobserwowano najjaskrawsze różnice.

Zainteresowania	Ogółem %	Chłopców %	Dziewcząt %
1. Historia	58,5	60,4	56,5
2. Podróże	50,7	51,3	50,2
3. Muzyka	49,9	35,7	65,3
4. Legendy	45,5	40,0	51,4
5. Film	42,0	41,0	43,0
6. Lotnictwo	41,9	58,3	23,7
7. Życiorysy bohaterów (Kościuszko, Napoleon)	41,5	41,7	41,4
8. Teatr	41,1	31,4	51,7
9. Wychowanie fizyczne (sport)	41,0	43,9	37,9
10. Życiorysy artystów (Maria Bogda i Matejko)	31,2	26,5	39,5

Od czasu przeprowadzenia badań minęło do chwili obecnej dwa i pół roku. Należy liczyć się z tym, że w zainteresowaniach młodzieży zaszło do dziś wiele zmian. Ostatnie dwa i pół roku to dla młodzieży okres szczególnie potężnych przeobrażeń, zmiany światopoglądu, powstania nowej problematyki. Wyniki ankiety dały nam obraz psychiki młodzieży wyczerpanej wojną, a jeszcze nie posiadającej perspektyw na przyszłość. Ankieta powtórzona dzisiaj wskazałaby niewątpliwie przesunięcie środka ciężkości zainteresowań.

Z drugiej strony nie możemy lekceważyć ogromnej przewagi zainteresowań humanistycznych i artystycznych. Głód wrażeń artystycznych pozostał, młodzież jest w dalszym ciągu gorliwym konsumentem wszelkich dostępnych wytworów kulturalnych. Jeżeli więc droga od konsumenta do producenta jest tak trudna, że w większości wypadków kończy się rezygnacją z zamiłowań na rzecz trzeźwej praktyki, to chyba tylko dlatego, że na tamtej drodze straszy wciąż widmo głodomora-humanisty.

III. CZYTELNICTWO

Część czytelnicza ankiety nastawiona była przede wszystkim na zbadanie popularności autorów i książek wśród młodzieży. Miała więc charakter jakościowy a nie ilościowy. Ankieta pozwoliła zbadać stopień popularności autorów, a jednocześnie natężenie zainteresowań dla wybranych pisarzy zależnie od warunków środowiskowych.

Dosyć poważne różnice zaznaczyły się przy podziale topograficznym; największe zainteresowanie książką zaobserwowano w Krakowie, najmniejsze na Śląsku. Zmienia się również popularność autorów zależnie od dzielnicy kraju. Naprzykład poczytność Maya nieznanego gdzieindziej, a zaznaczająca się szczególnie jaskrawo na Śląsku wskazuje, że był on tam czytany podczas wojny także w języku niemieckim. Dla niektórych autorów różnica procentu popularności u chłopców i dziewcząt zaznaczała się bardzo wybitnie. Miało to miejsce przy Orzeszkowej, gdzie procent popularności różnił się o 13,3% na korzyść dziewcząt, lub przy Verne'm, gdzie stosunek poczytności przedstawiał się różnicą 11,6 proc. u chłopców i 0,9 proc. u dziewcząt.

Poważnym fluktuacjom ulegało natężenie zainteresowania dla czołowych autorów, zależnie od wieku badanych Zainteresowanie Sienkiewiczem osiąga swój szczytowy punkt u młodzieży 15 i 16 - letniej, by później ulec gwałtownemu spadkowi u młodzieży starszej. Prusa najchętniej czytuje młodzież 17-letnia, Rodziewiczówną interesują się głównie dziewczęta 16-letnie. Popularność wymienionych autorów maleje wybitnie u młodzieży 18-letniej.

Większość autorów zawdzięcza swoją poczytność jednej książce. Reymont jest znany jako autor „Chłopów", Rodziewiczówna przede wszystkim jako autorka „Dewajtisa".

Zastanawiająca jest popularność literatury powszechnie uznanej za wybitną i wartościową. Autorzy książek kryminalnych, sensacyjnych lub cowboyskich zajmują w ogólnej punktacji ostatnie miejsce. Niewątpliwie gra tu poważną rolę wpływ wychowawców, podkreślających wartość jednych autorów, a potępiających drugich, lub może fakt, że chodzi tu o książkę **ulubioną**. Książki kryminalne są **namiętnie** czytane, ale... **nie „ulubione"**.

Oto lista 17 ulubionych autorów w obliczeniu ogólnym:

Sienkiewicz	86,1%
Prus	45,5%
Mickiewicz	38,7%
Rodziewiczówna	29,1%
Żeromski	26,8%
Kraszewski	25,1%
Orzeszkowa	12,1%
Makuszyński	11,3%
Reymont	10,4%
Słowacki	8,2%
London	7,5%
May	6,8%
Gąsiorowski	6,5%
Kossak-Szczucka	6,4%
Czarska	6,1%
Przyborowski	6,1%
Verne	6,1%

Sienkiewicz zajmuje w obliczeniu ogólnym bez względu na środowisko pierwsze i bezkonkurencyjne miejsce. Następny Prus osiąga prawie o połowę mniej głosów. Książki Sienkiewicza w obliczeniu procentowym popularności zajmują cztery pierwsze miejsca. W tym „Trylogia" otrzymała 58,1% głosów, „Krzyżacy" 25,6%, „Quo Vadis" 24,9% i „W pustyni i w puszczy" 20,5% głosów. Badania uzupełniające potwierdziły w całej rozciągłości ogromną poczytność Sienkiewicza. Łatwość i barwność stylu, element awanturniczy, humor, plastyczność opisów, a przede wszystkim zaspakajanie dumy narodowej — oto czynniki stawiające „Trylogię" na pierwszym miejscu wśród ulubionych książek.

Wśród dzieł Prusa pierwsze miejsca zajmują „Lalka", „Placówka", „Faraon" i „Anielka". Wypowiedzi młodzieży wskazują na Prusa jako na mądrego i dobrego wychowawcę człowieka. Łatwość wyrażenia myśli u Prusa sprawia, że jest on ulubionym autorem bez względu na wiek i grupę społeczną.

Mickiewicz jest lubiany przede wszystkim jako autor „Pana Tadeusza". „Dziady" i „Grażyna" zajmują dalsze miejsca. Poezja jest naogół bardzo mało popularna; oprócz Mickiewicza i Słowackiego, prawie nie spotyka się nazwisk poetów.

Żeromski cieszy się popularnością głównie wśród dziewcząt. Zainteresowanie Żeromskim wzrasta wprost proporcjonalnie do wieku, czego nie spotyka się u innych autorów. Z książek Żeromskiego najczęściej wymieniane są: „Ludzie bezdomni", „Syzyfowe prace", „Popioły".

Nadspodziewanie popularnym okazał się Kraszewski, który z Gąsiorowskim, Przyborowskim i Kossak-Szczucką, a przede wszystkim Sienkiewiczem należy do grupy pisarzy historycznych, szczególnie chętnie czytanych.

Z autorów książek przygodowych najbardziej lubiani są: London, Verne, Curwood i May. Spośród mniej wartościowych autorów wkradło się na poczesne miejsce nazwisko Czarskiej. Sentymentalne i ckliwe powieści Czarskiej z życia dzieci arystokracji rosyjskiej wywierają wielki wpływ na 13—14 letnie dziewczęta. Widoczny jest tu brak odpowiedniej zdrowszej lektury dla tej grupy młodzieży.

Otwiera się tu zadanie dla pedagogów i oświatowców. Najpoważniejszą jednak drogą do podniesienia poziomu ilościowego i jakościowego czytelnictwa jest rozumnie i dalekowzrocznie opracowany plan wydawniczy.

Konieczność ustalenia tego planu jest naczelnym zadaniem i głównym praktycznym wnioskiem wyciągniętym z dotychczasowych badań nad czytelnictwem.

Stefan Szostkiewicz.

DO „ŚWIATA MŁODYCH"

Zdjęcia przedstawiają kolejno (od góry): Zofię Baranowicz, ucz. Liceum Gosp. Wiejskiego w Chyliczkach, ucznia II kl. Gimnazjum Mechanicznego w Warszawie, Genowefę Bednarską, członkinię zwycięskiej brygady pracy Fabryki Konfekcyjnej w Szczecinie, uczenicę Liceum Ogólnokształcącego we wsi Zduny k/Łowicza, Benedykta Rudnickiego, urzędnika i ucznia Gimnazjum Wieczorowego TUR-u w Warszawie.

(„Świat Młodych" Nr 52 i 55)

Młodzi chłopcy i dziewczęta odpowiadający na ankietę „Czytelnika" przed dwoma laty czytali May'a, powieści kryminalne i sentymentalne romanse Czarskiej. Ulubionym autorem większości z nich był Sienkiewicz. Innych nazwisk poetów prócz Mickiewicza i Słowackiego nie znali.

A dzisiaj?

Co czytają młodzi przodownicy pracy, działacze młodzieżowi, uczestnicy obozów, rekordziści sportowi — ze wsi i z miast?

Proponujemy redakcji „Świata Młodych" rozpisanie ankiety na ten temat wśród swoich czytelników. Tymczasem zaś zwracamy się do niej z apelem:

Znamy z Waszych okładek wiele postaci młodych. Nie są to przecież modele z afisza, a żywi ludzie posiadający swoje życie kulturalne. Chcemy poznać ich nie tylko z twarzy. Proście ich: niech przeczytawszy artykuł S. Szostkiewicza napiszą do nas odpowiadając na pytania:

1) jakie są ich zainteresowania (w zakresie praktycznym? humanistycznym?)

2) co czytają (jakich współczesnych pisarzy i poetów znają prócz dawnych?)

Oczekiwać będziemy odpowiedzi wraz z życiorysami.

REDAKCJA „WSI"

Genowefa Szturchaniec

Wołanie na puszczy

O dużą i małą recenzję

„Łatwiej spotkać wielbłąda na Marszałkowskiej, niż sumiennego krytyka literackiego..."

wolny przekład z „Myśli wybranych" K. Brandysa.

Nie od dziś mówi się o katastrofalnym stanie naszej krytyki literackiej. „Kuźnica" biła swego czasu na alarm wskazując na niemożliwość zorganizowania właściwej polityki kulturalnej w tych warunkach. Buntowali się pisarze, wołając o krytykę postulującą: nie tak, no, to pokażcie jak... Nie da się stworzyć dobrej krytyki bez uświadomienia sobie wagi zdrowego rozsądku i poczucia odpowiedzialności wobec autora i czytelnika.

Bezcenne te, acz rzadkie zalety na terenie krytyki literackiej przejawiają się w dążeniu do uświadomienia sobie, po co pisze się recenzje. Powiedzieć trzeba czytelnikowi coś najważniejszego — tenże zdrowy rozsądek nie pozwala zatem wątpić, że oprócz informacji i oceny artystycznej najważniejszym będzie wyświetlenie **ideologicznego sensu i społecznej funkcji książki.** Punkt ten rozstrzyga o wartości i sensowności każdej recenzji literackiej niezależnie od jej rozmiarów, ambicji naukowych, adresu społecznego i rozwiązań formalnych.

Wśród zróżnicowanych form krytyki literackiej dwa typy odgrywają w praktyce najważniejszą rolę: poważne, wyczerpujące recenzje naukowe, formujące opinię współczesności o wybitnym pisarzu oraz uzyskująca ostatnio popularność drobna notatka informacyjna, obracająca się przeważnie w kręgu drugo- i trzeciorzędnej literatury. Ma ona najszerszą bazę oddziaływania, ma stanowić pierwszy punkt orientacyjny dla niewyrobionego czytelnika.

Mimo zróżnicowania swych funkcji oba typy stają się w równej mierze szkodliwe społecznie, gdy rezygnują z wyraźnego ustawienia ideologicznego utworu, a ograniczają się tylko do opisu. Oto najświeższe przykłady z ostatnich numerów naszych czołowych pism literackich.

Ewa Korzeniewska, „Noce i dnie" Dąbrowskiej w perspektywie czasu", „Kuźnica", nr 13 - 14 (134 - 135).

Problem pracy stanowi rodowód powieści Dąbrowskiej — recenzentka usiłuje dowieść, że „Noce i dnie" wywodzą się z powieści pozytywistycznej. Nie przesądzam tu słuszności tej interesującej tezy. Jednak porównanie z „Emancypantkami" jako metoda dowodowa nasuwa duże zastrzeżenia. „Wartość porównania polega przede wszystkim na wydobyciu jakichś cech istotnych" — stwierdza recenzentka. Bardzo słusznie. Jakież więc cechy istotne zostały wydobyte w tak trudnym i skomplikowanym zabiegu, jak porównywanie książek oddzielonych półwiekiem rozwoju literackiego. Metoda recenzji pozwoliłaby spokojnie porównywać Julię Hartwig z Kochanowskim. Oto rejestr kryteriów:

„Autorzy nie poprzestają wbrew pozytywizmowi i realizmowi na świecie zjawisk społecznych, lecz próbują szukać przyczyn wszystkiego..." (próbował także Dante, Zawieyski, Walt Whitman i Zuzanna Rabska).

„...postacie pierwszoplanowe pokazują „od zewnątrz" i „od wewnątrz", postacie drugoplanowe charakteryzują tylko przez ich słowa lub postępki..." (identycznie postępowali Żeromski, Walter Scott i Chram-Piórkowski).

„...Agnieszka Dąbrowskiej podobnie jak Madzia Prusa są postaciami wyidealizowanymi i wydają się realizować jakiś typ życia najbliższy autorowi" (jak Wilhelm Tell i Ania z Zielonego Wzgórza).

„Analogia staje się jeszcze wyraźniejsza, gdy dostrzegamy, że zarówno partie „Emancypantek", jak „Nocy i dni" stają się najmniej artystycznie ciekawe tam, gdzie wydarzenia koncentrują się wokół postaci dziewcząt" (podobnego pecha przyniosły dziewczęta autorom „Lejbego i Sióry", „Fausta", „Potopu" oraz całej „Bibliotéque rose").

Ten rejestr można znakomicie powiększyć. Nie ułatwiałam sobie bowiem sprawy wybieraniem tez szczególnie podatnych do parodii.

Nie neguję niezbędności poprawnych rozważań formalistycznych w recenzji tego typu. Ale niekontrolowane wyrywanie elementów z kontekstu dwóch o całe wieki rozwoju społecznego odległych książek jest nawet z formalistycznego punktu widzenia nieusprawiedliwioną dowolnością. W ten sposób można dowieść absolutnie wszystkiego. Ten ponadczasowy zabieg klasyfikacyjny to typowy przykład braku odpowiedzialności wobec autora, którego przykrawa się bezlitośnie do dowolnie wybranych analogii, a odrzuca się wszystko, co leży poza ich zasięgiem. Ale mniejsza o autorów: skoro piszą — niech mają czasem za swoje. Co jednak zawinił tu czytelnik? Czy zasłużył, by zamiast rozsądną wiedzą o książce karmiono go takimi „analogiami" i „bujnością talentu"?

Mimochodem rzuca recenzentka także inne opinię, np. „...ofiarna gotowość Agnieszki do podjęcia życia w każdych warunkach ma posmak omijania istotnych problemów społecznych i politycznych..." albo „...wszystkie konflikty (społeczne — G. S.) mają charakter sporów przy kieliszku bądź nieporozumień uczuciowych..." Jeśli to prawda, to nie można tego zostawiać bez dowodu, a przytem „To chyba u Boga Ojca coś znaczy!" krzyczy w takich wypadkach Stefan Żółkiewski i bardzo słusznie bardzo wali pięścią w najbliższy stół.

Tak się dzieje na „szczytach recenzenckich" — a teraz zajrzyjmy do „recenzji dla mas". „Odrodzenie" lansuje ostatnio typ maleńkiej notatki informacyjnej, skrojonej trochę pod „Przekrój". Inicjatywa w zasadzie bardzo słuszna, jednak o powodzeniu tej imprezy decyduje wybór pozycji celowość notatki — nie można jej z niewymuszonym wdziękiem strzepywać z Watermana, musi ona dążyć do formowania zarówno właściwego zamówienia społecznego, jak i właściwej polityki wydawniczej w zakresie dobrej drugorzędnej powieści. Jak dotychczas w nowalijkach „Odrodzenia" szwankuje i „co" i „jak".

ad „co" — w nrze 12 (173) D. Klimowicz omawia „Parasol noś i przy pogodzie" — zbiorek aforyzmów wschodnich w przekładzie R. Kwiatkowskiego. Stwierdza, że „na dobrym papierze", że „trioletowe ujednolicenie formy ongiś nie wszystkim odpowiadało..." i t.p. Trolety można urozmaicić sonetowo, można rozrobić na canzony lub ronda — ale niby co z tego? Książeczka zdobyła popularność — tak, ale nie róbmy Greka, nie chodzi tu przecież o Persów czy innych Chińczyków, — odgrywała ona rolę encyklopedii mieszczańskiego esprit. „Nie zaglądaj pan za parawan i w cudze pantofle...". Hi, hi, hi. Równą popularność zdobyły w dwudziestoleciu chyba tylko wyszukane kombinacje przysłów: „Nie rób drugiemu między drzwi" i „Kto pod kim dołki kopie, temu Pan Bóg daje". Zostawić „Parasol..." bez komentarza — to pielęgnować „kanapowe kraje".

ad „jak" — K. Koźniewski w nrze 12 (173) i 13 - 14 (174 - 5) omawia parę przekładów. Najpierw „Imitacja życia" Fannie Hurst. Znów dowiadujemy się, że książka jest „interesującą, gładko napisaną, dobrze przetłumaczoną powieścią klasy, powiedzmy, trzeciej". I znów, co z tego? Przecież trzeba powiedzieć czytelnikowi, co znaczy drobnomieszczański lament nad przeklętymi pieniędzmi, które „rozbijają życie rodzinne i uczuciowe nowoczesnego Kopciuszka" — no, i czy warto było książkę tłumaczyć. Natomiast, podobno dobrze, że przetłumaczono powieść R. Warnera „Lotnisko". Hm! To zakrawa na kpiny albo z czytelnika albo z autora. Bo albo to nie jest taka brechta, jak wynika ze streszczenia, a zatem, czy wypada tak ośmieszać p. Rexa Warnera, albo też to jest taka brechta, jak wynika ze streszczenia, a zatem bardzo niedobrze, że to przetłumaczono. Bo tendencja antyfaszystowska — to trochę za mało. Hermenegilda Kociubińska pisała podobno satyry na Mussoliniego — i co z tego? Bynajmniej nie chcę dogryzać K. Koźniewskiemu, ale nawet niejaki Koź. odrabia takie rzeczy w „Przekroju" z większym poczuciem odpowiedzialności od wiersza.

Wreszcie coś z zakresu „teoria literatury dla mas". — Pogadanka F. Kowalskiego — o „Oczekiwaniu" J. Broszkiewicza. Problem „jak ma wyglądać utwór przekonywujący realizmem i prawdą" — „Powieść J. Broszkiewicza jest utworem wartościowym literacko. Zakończenie też jest bardzo prawdziwe. Stefan Bergman, wyczerpany pobytem w obozie, ukrywa się w szpitalu, mieszka u zaprzyjaźnionej rodziny polskiej, wreszcie idzie do lasu". Eureka! — wiemy już jak uprzystępniać terminy naukowe bez uprzykrzonej „abrakadabry". Chcecie wiedzieć, co to jest utwór realistyczny? Jest to utwór, który ma prawdziwy początek, prawdziwy środek a zakończenie też jest bardzo prawdziwe. Wszyscy mogą zrozumieć — łatwo, tanio, przystępnie — dzieci i wojskowi płacą połowę.

W tych warunkach trudno sobie odmówić drobnomieszczańskiej przyjemności zadedykowania polskiej krytyce bezcennego aforyzmu z R. Kwiatkowskiego:

„Miej na celu tylko ziarno,
lecz nigdy łupinę.
bowiem inni je zagarną.
Miej na celu tylko ziarno!"

AMEN!

Tadeusz Drewnowski

Wychowamy inteligenta ludowego

W Krakowie, od 19 do 21 marca odbyła się pierwsza, konstytucyjna Rada Federacji Polskich Organizacyj Studenckich. W Radzie uczestniczyło 88 delegatów wszystkich skupisk akademickich, reprezentantów organizacyj ideowo - wychowawczych, bratnich pomocy, kół naukowych i innych związków studenckich. Wagę młodzieżowej narady podniosła obecność wysokich przedstawicieli państwa i świata nauki.

Federacja Polskich Organizacyj Studenckich powstała jako kontynuacja Komitetu Koordynacyjnego, jedynego dotąd przedstawiciela młodzieży akademickiej. Płaszczyzna porozumienia znacznie się poszerzyła. Oblicze ideowe federacji jest naturalnie mniej określone, niż organizacyj młodzieżowych, które między innymi wchodzą w jej skład. W federację powiązały się organizacje o polityczno - społecznym programie z organizacjami o charakterze samopomocowym i naukowym.

Przemówienie ministra Stanisława Skrzeszewskiego należy do rzędu programowych wystąpień. Tezy ministra charakteryzują dzisiejszą sytuację w szkołach wyższych:

1. Na uczelniach nastąpiło znaczne podwyższenie poziomu naukowego. Dostrzegamy gorliwość, a nawet żarliwość, i wytrwałość studenta. Młodzież odwraca się od wszystkiego tego, co sprowadzało ją na bezdroża walki z Polską.

2. Przełom społeczny jest już widoczny na pierwszych latach naszych wyższych uczelni. Tworzymy ustrój szkół akademickich taki, jaki odpowiada organizacji Polski Ludowej, mas ludowych, które ją tworzą, żywią i bronią.

3. Studenckie organizacje ideowo-wychowawcze wzrosły w ciągu ubiegłego roku czterokrotnie. Zasięg i głębokość ich wychowawczego oddziaływania dzięki rozwojowi i sprawności organizacyjnej znacznie się powiększyły.

4. Wśród członków organizacyj przełamano wzajemne uprzedzenia i zarzucono wszelkie sposoby niezdrowej konkurencji. Związki studenckie, tak jak partie polityczne, wstąpiły na drogę jednoczenia.

W referacie ministra oświaty wystąpiły wyraźnie linie powiązań między dziedziną akademickich spraw a problemami ogólnonarodowymi. Groźne niebezpieczeństwo również na froncie wyższych uczelni stanowi uleganie naciskowi ideologii amerykańskiej, spekulacji na wojnę i na faszyzm, na t. zw. amerykańską demokrację. Czasy wojny nauczyły nas jednego: na zachodzie mamy wroga, z którym igrać nie należy. Wisi stale nad nami groźba pieców krematoryjnych. Kto chce imperialistycznych Niemiec, ten jest wrogiem Polski. Te polityczne pewniki należy uprzytomnić grupkom nielicznym, lecz istniejącym, o zaczajonym faszystowskim światopoglądzie. Lecz trzeba je również powtarzać demokratycznej profesurze i młodzieży, by tym wytrwalej pogłębiali demokratyczne zasady naszego akademickiego życia. **Wielka dyskusja, żarliwy spór naukowy** musi wyprzeć z uniwersytetu plotkę i niekontrolowane uczucie.

Nauka nie jest powiązana z życiem społecznym: związki te łatwo zacieśniamy w technice, **z trudem — w humanistyce.** A humanistyka przecież powinna dopomóc w wychowaniu nowego typu inteligenta ludowego. Rysem nowego inteligenta — stwierdzali mówcy — **musi być czujność na potrzeby kraju** zamiast dawnego odosobnienia, stała służba, porządne zawodowe przygotowanie na miejsce inteligenckiego dyletantyzmu, bohaterstwo pracy i zaufanie do nauki.

Perspektywę studenckiego „wyścigu", fragmentu wspólnych wysiłków świata pracy, przedstawił minister Skrzeszewski: **musimy wcześniej odbudować Polskę, niż za dolary dźwigną się zaborcze Niemcy.**

Federacja ma objąć oddziaływaniem wychowawczym również masy niezorganizowanych studentów. Podziały na zrzeszonych i niezrzeszonych zacierają się i znikają. Prócz tych ważnych ideowych celów przed federacją stoi ogromna ilość praktycznych zadań. W komisji wnioskowej widzieliśmy wielkie wykresy potrzeb naszych uczelni, pracowni naukowych i studiującej młodzieży. Federacja będzie zmierzać do zaprowadzenia porządku w dotąd nieskoordynowanej, przygodnej, doraźnej działalności placówek studenckich w celu wzmożenia skutków ich pracy. To jeden więcej przejaw zamiany prymitywnych form na przemyślane przejścia od bezładu do planu. Federacja prócz koordynowania i racjonalizowania studenckich akcyj pomocy, postanowiła wpłynąć na **ożywienie samodzielnego studenckiego ruchu umysłowego w kołach naukowych.**

Federacja Polskich Organizacyj Studenckich wysunęła niezbędne praktyczne propozycje i zajęła się ich wykonaniem. Powołanie warszawskiego Sekretariatu Wykonawczego F.P.O.S. pozwala sądzić, że uchwały pierwszej rady nie pozostaną martwą literą wniosku.

Piotr Chmura

O przyszłych studentach

List otwarty do Sekretarzy Powiatowych SL, PPR, PPS, ZSCh: tudzież do Wojewódzkich.

Panowie! Jak się przedstawia Wasz dorobek na odcinku kultury? Nie chcemy Was tu egzaminować z wielu zadań. Tym razem pytanie odnosi się do jednej, a ważnej sprawy. Jest kwiecień. Macie jeszcze trzy miesiące do zapoznania się z licealistami gimnazjów Waszych Włoszczowych, Mław i Kaliszów. Coście dotąd już zrobili? Czy znacie warunki materialne uczącej się młodzieży licealnej? Dowiedzieliście się, którzy są zdolni i w czym? A możeście nawiązali już z nimi kontakt na początku roku szkolnego, może opiekujecie się nimi? Macie rozmowy, zapraszacie do współpracy? Przez Wasze sekretariaty przelewają się ludzie z terenu. Młodzi licealiści wsłuchują się w te głosy społeczne i głosy osobiste? A są przecież ci synowie robotników i chłopów posłami swego pokolenia, posłami na wyższe uczelnie ze swych okolic, z lokalnych środowisk. W gimnazjum nad fizyką a nawet nad romantykami można zapomnieć poco się uczymy i do czego jesteśmy w drodze. Nie wymagamy od Was Panowie Sekretarze za wiele. Ale po 1) zadbać trzeba o swoich, o dzieci robotników, o dzieci chłopskie, po 2) tych najzdolniejszych trzeba mieć w rejestrze, po 3) tym zdolnym trzeba dać widok na ich małą ojczyznę lokalną, po 4) im trzeba stanowczo pomóc w dostaniu się na wyższe uczelnie, dla nich trzeba zabiegać o stypendia tak z góry jak z dołu.

Posłuchajcie. Sprawa jest poważna. W r. 1946 — na 1 rok wyższych studiów wprowadziliśmy tylko 11 proc. młodzieży chłopsko - robotniczej, w 47 r. — 30 proc. A jak wprowadziliśmy, na to mogą dać najlepszą odpowiedź Wojewódzkie Z. S. Ch. Zwalili się na nie nieznani petenci, obstawieni zaświadczeniami na gorąco pichconymi, często jak to mówią, z „piątej rączki". Zdolni, uspołecznieni, łaknący WIEDZY, najbiedniejsi, zasłużeni? Zgaduj zgadula! Tak być w tym roku już nie może!

Reprezentujecie Panowie partie, które w nowej Polsce stały się INSTYTUCJAMI. Ich życie przestało się wyrażać tylko w manifestacjach sporadycznych, zjazdach i wiecach, zostało ujęte w STAŁĄ codzienną działalność. Komórki partyj politycznych mają dlatego ambicję i obowiązek nie stać poza codziennym życiem swych członków i niezrzeszonych.

Dla jednych i drugich mają stanowić stałe, codzienne oparcie w ich potrzebach osobistych, losowych, a przez Was widzianych w ich społecznej doniosłości.

Czy jest tedy słuszne, aby na prowincji obok Was przesuwały się rzesze kształcącej się młodzieży? Abyście pozostali sobie wzajem nieznani? Na tym przykładzie dobrze widać, co to znaczy być partią poza życiem lokalnym okolicy, poza rozstrzygającym dla niej wiązaniem się z szerszym organizmem narodowym. Jak potem chcieć, aby młodzież na medycynie nie marzyła po staremu o prywatnym gabinecie lekarskim na pryncypalnej ulicy? Jeśli ona Was wyminie, jeśli Wy nie znajdziecie z nią wspólnego języka jeszcze tam w Jędrzejowie, Pińczowie, Końskich, to młodzieńczy idealizm i zapał do społecznych poświęceń wypali się w niej wcześniej, nim zdąży się skonkretyzować.

Są uprzedzenia po obu stronach. W oczach młodzieży Wy często uchodzicie za „politykierów" tylko. Dla Was nierzadko wiedza szkolna licealistów bywa trochę „nieuchwytna", a trochę jeszcze „niepraktyczna". I jedno i drugie nie jest prawdą. Ale na Was w dużym stopniu leży obowiązek obalenia tych przesądów. Wy musicie zdobyć autorytet i u tych, którzy kiedy się uczą, mniemają, że są bardziej „obiektywni" od Was — polityków. Nie ma co! Wy się musicie pogłębić intelektualnie. Na dorobku do kultury jesteśmy wszyscy. Wy macie obowiązki młodzież rozumieć i być dla niej atrakcyjni i potrzebni.

Panowie, w tę sprawę trzeba sięgnąć jeszcze głębiej. Mało mieć pieczę nad licealistami. Już gimnazjum stawia to samo zadanie. Pomoc — kursy, stypendia — już tym szkrabom jakże często jest potrzebna. I tu pole dla Waszej celowej działalności. To od Was w pierwszym rzędzie oczekujemy społecznych, lokalnych inwestycji. Zdolny chłopak czy dziewczyna jeszcze w szkole powszechnej, oto Wasz punkt w y j ś c i a. DZIECKO ZDOLNE, TO DZIECKO GROMADY I OSADY. Działajcie nie tylko sami. Wszystkie sprężyny społeczne winny być ku temu poruszone. Ale na Was ciąży ustrojowa odpowiedzialność. I można będzie wówczas wydobywać z terenu pomoc tym, którzy, biorąc ją od społeczeństwa (najpierw sąsiedzko - lokalnego, potem coraz szerszego) społeczeństwu ją przez swą wiedzę i działalność oddadzą. W ten sposób we wsiach i miasteczkach rzeczywiście wzbudzicie kult dla wiedzy i dla jej społecznego użytkowania.

Jest już kwiecień! Trzy miesiące do odpowiedzialnego z Waszej strony przygotowania się do poparcia maturzystów i do przygotowania im pomocy materialnej. Takich sekretariatów nie zapomną oni, nie zapomną szkoły!

Karlosz

ZNACIE ICH?

Panie, do SL-u idę

Któregoś dnia wpadł do mnie właściciel kamienicy, w której mieszkam i powiada:

— Stoję przed poważną decyzją. Jeżeli można liczyć na pańską dyskrecję, opowiem panu w czym rzecz.

— Naturalnie. My publicyści znani jesteśmy przecież z tego, że trzymamy język za zębami.

— A więc panie drogi — muszę zapisać się do partii.

— Jakto, musi pan? Kto pana zmusza?

— Interesy, młody człowieku, interesy! Tylko, nie jestem zdecydowany, którą partię sobie wybrać.

— Opowiadał mi pan kiedyś, że w młodości należał do PPS-u.

— No tak, ale tamten PPS sprzed wielkiej wojny to nie dzisiejszy. Wtedy wojował z Rosją i miał opinię patriotycznego. W dzisiejszym PPS nic pan już nie skorzysta. Po prostu nie kalkuluje się. Zresztą oni może się tfu, tfu, tfu... zjednoczą. Słuchał pan przecież tego Cyrankiewicza.

— Niech się pan w takim razie zapisze do PPR-u.

— Bój się Boga człowieku! Patrz pan na moją pierś. Tam bije jeszcze prawe serce!

— Hm... więc do jakiej partii wstąpi pan?

— ...Do Stronnictwa Ludowego!

— No dobrze, ale co pan ma wspólnego z ruchem ludowym?

— Publicystą pan jesteś, ale nosa do polityki to pan nie masz zupełnie. Przecież S. L. nie ma inteligencji, bo to partia, panie, chłopów. Jak im przyjdzie dać kogoś od siebie na reprezentacyjne stanowisko, to nie mają kogo. Gdzie jak gdzie, ale w Stronnictwie Ludowym jest jeszcze miejsce, panie, dla takich jak my inteligentów, panie, wiem co robię!

Z obowiązku publicysty ludowego: Koledzy z zarządów Kół Grodzkich uważajcie na „takich inteligentów"!

w. j.

Jeszcze z oficjalnej inicjatywy prywatnej...

„Przypomina pan sobie mnie?" Przypominam. Na ulicach miasta prowincjonalnego, gdzie kończyłem gimnazjum, widywałem go. Starszy ode mnie o 10—15 lat. Zaprasza do stolika. Dwóch starszych jegomościów.

Wracają ze zjazdu hurtowników. O czym nie mówili! Inicjatywa prywatna musi być moralniejsza od państwowych przedsiębiorstw. To gwarancja jej egzystencji i jej „klejnot". A potem (wciąż do mnie) — naród musi mieć pełną swobodę, wtedy kwitnie życie gospodarcze, inaczej martwota i „pod ścianę płaczu". A jeszcze później — mógłby pan (że niby mam polityczne wpływy) ułatwić mi prawo kupienia w Państwowej Centrali Przemysłowej „demokratki" (samochód 6 cio osobowy). Teraz idą zwierzenia, mają mnie „dobrze nastroić". Demokratka kosztuje 1.200.000 zł. Tyle pieniędzy Pan chce rzucić?—pytam. Ależ to mnie nie będzie nic kosztowało. Jakto? Zwyczajnie. Jeżeli mi Centrala pozwoli kupić — płacę a potem... zapisuję na koncie amortyzacji — (to w porządku) i podatek dochodowy o tyle właśnie będę miał mniejszy. Czyli w pół roku z powrotem wypłacam sobie koszta samochodu. Właściwie w pięć lat. Ale ja już „u siebie" dogadam się w Izbie Skarbowej i pozwolą mi wpisać tę amortyzację na konto jednego roku. — Cmokam wargami. — Ale skąd Pan zmobilizuje tyle pieniędzy? Obrót, Panie, mam 10 milionów. Na rok? — Na miesiąc, Panie! A jakie dochody? 11 procent brutto. 6 proc. podatku, 2 procent kosztów handlowych — 3 proc. mojego. Zaczynam rachować: tzn. ma Pan obrotu rocznego 100—120 milionów zł. — 3 procent z tego równa się 3 mil. zł., czyli pańska „pensja miesięczna" równa się 250.000 zł. No, no... a trzech co najwyżej literatów na 300 w Polsce może otrzymać z corocznej nagrody po 200.000 zł. A może by tak literaci napisali powieść o „niedoli" inicjatywy prywatnej w Polsce Ludowej? Uczmy się i my robić pieniądze — socjalistycznie.

a. k.

Szlachetni akademicy

Pamiętam, że Mieczysław, mój kolega z ławy szkolnej, obecnie student medycyny, narzekał jeszcze w 1945 roku na ciężkie warunki materialne, w jakich wypadło mu studjować. Kiedy więc zobaczyłem go, jak elegancko ubrany wychodził z kościoła po akademickich rekolekcjach nie mogłem sobie odmówić złośliwej przyjemności:

— Świetnie wyglądasz, Mieciu, i taki jesteś elegancki.

— Ano, Bogu właśnie dziękowałem, że pozwolił wykaraskać się z biedy. Na nas trzech pracuje teraz, bracie — elektryczny młyn.

— Jakto, młyn?

— A to cała historia, mój ty działaczu ludowy. Chętnie ci ją opowiem. Uruchomiliśmy do spółki z kolegami taki interesik, koło się obraca: forsa leci jak woda.

— Ale skąd u licha wzięliście pieniądze?

— Czekaj trochę, to nie reforma rolna. Zrobiło się powolutku. W 1945 r. kończąc działalność partyzancką zdobyliśmy na uciekających Niemcach samochód i dwa motocykle. Odczekało się swoje, przemalowało maszyny, sprzedało i już kapitalik zakładowy, proszę ciebie — był. Na wiosnę 1946 r. upatrzyliśmy sobie trochę zniszczony młyn i wytłumaczyli chłopu, że go nie potrafi uruchomić. Drapał się po głowie, ale sprzedał obiekcik za tanie pieniądze.

— No a pozwolenie na przemiał?

— Powoli, bracie. Pytasz się tak, jak jaki demokratyczny święty, co to niby nie wie, jak się takie sprawy załatwia. Napisaliśmy, rozumiesz — do Ministerstwa reżimowe podanko, że grupa biednych akademików, zasłużonych w walce o lud i demokrację, chcących w przyszłości uprawiać medycynę społeczną wśród ludu, już teraz pragnie ożywić życie gospodarcze na wsi przez uruchomienie spółdzielczego młyna... Rozumiesz? Dalej było tak... zważywszy, że w promieniu kilkunastu kilometrów nie ma podobnej uspołecznionej instytucji spółdzielczej tego typu, mamy nadzieję, że tego rodzaju, pozytywna inicjatywa będzie w odrodzonej Polsce Ludowej... i tak dalej. Wiesz przecież, jak się to pisze.

— Wiem... wiem. I co, od razu dali wam pozwolenie?

— Biurokracja załamuje się w restauracji. Poszło się na dobrą kolację i za jeden wieczór zyskaliśmy aprobatę u... sekretarki od góry a potem papierek pod nos w województwie i powiecie. Kiwali głowami, ale w nawale spraw rewizji przydziału nie zrobili.

— Nadzwyczajne. A jak było z elektrycznością?

— Tak samo. Napisało się do ZEORK podanko tej samej treści z odpowiednim dodatkiem, a więc, że plan trzyletni przewiduje w pierwszej fazie uruchomienie istniejących obiektów przemysłowych i że my zgłaszamy dobrowolnie taki właśnie obiekt...

— No, a nie nazywają was czasem wyzyskiwaczami, czy kapitalistami!

— Gdzież tam! Umieściliśmy w miejscowej prasie artykulik p. t. „Szlachetna inicjatywa akademików", w którym wymieniło się, proszę ciebie, nazwiska wszystkich tych, którzy nam pomogli i jest święty spokój... Ale słuchaj, zaraz po rekolekcjach wypadają moje urodziny. Przyjdź koniecznie. Udowodnię ci, że mamy w Polsce dużo dobrej wódki...

w. j.

LISTY

Do Wojciecha Breowicza

Kolego!

Pamiętasz? Było to lat temu piętnaście, może więcej. Ja byłem wówczas w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Ty byłeś w Polsce, przysyłałeś mi „Wieś — Jej Pieśń". Jak wiesz dobrze, krytykowałem to pismo w listach do Ciebie za jego poziom, o który obwiniałem jego redaktora, nieżyjącego dziś Jantka z Bugaja.

Charakter pisma, może niesłusznie, nazwałem, „częstochowskim". Miałem wrażenie, że „Wieś — Jej Pieśń" można było czytać na równi z „Historią Polski" Chociszewskiego na głos w kruchcie kościoła. Dopiero po znalezieniu się w Polsce w r. 1936 dowiedziałem się, jak ciężko a nawet niebezpiecznie było chłopskiemu poecie, pisarzowi, wypowiedzieć to, co czuje i myśli.

Pamiętam, jak pisałeś do mnie do Ameryki śląc wiersze do prasy postępowej za moim pośrednictwem, które skwapliwie „Trybuna Robotnicza" i „Straż" drukowały. Pisałeś i skarżyłeś się, jak ciężko żyć było w Polsce poecie, pisarzowi chłopskiemu, nauczycielowi ludowemu. Byli spychani na dno nędzy za słowa prawdy podawane bratu - chłopu. Szedł za nimi cień granatowego. Za miłość ludu, dosłużyłeś się śladem pisarza i ludowca Wójcika, wygnania w puszcze brazylijskie. Byłeś jednym z tych, którzy dla ówczesnej włodarki sanacyjnej nie tylko byli niepotrzebni, ale zgoła szkodliwi. Stałeś się żywym towarem na eksport, za który sanacja nie tylko ceny nie brała, ale z zadowoleniem pozbywała się go.

Już z Brazylii list od Ciebie w Stanach Zjednoczonych otrzymałem. Tęskniłeś jak i ja za wsią rodzinną, za poszumem wierzb polskich. Na obcej ziemi wziąłeś elementarz do ręki, gromadząc dzieci polskie, uczyłeś ich słowa i druku, pisma i kochania swojego narodu i dalekiej Ojczyzny.

Kolego! Twój list w naszej „Wsi" przeczytałem ze wzruszeniem. Zmieniają się losy. Dziś ja w Ojczyźnie po ćwierć wieku tułaczki, a Ty daleko na obczyźnie. Ale jestem w Ojczyźnie innej, nie takiej, jaką Ty opuściłeś. Dziś granatowy nie decyduje, co i jak ma pisać poeta i pisarz chłopski. Dziś Polska nie obawia się mądrego i światłego chłopa. Dziś ludzi na eksport nie ma, każdy kto chce pracować i przyczyniać się do odbudowy, znajdzie warsztat, a wysiłek jego będzie i jest ceniony.

Dzwonek dziedzicowy nam dziś nie przydzwania, na własne hektary idziem. Żandarm u bramy fabrycznej nie stoi i nie obmacuje kieszeni robotnikom, czy „zarazy" nie wnoszą, któraby szkodziła dochodom bankierów paryskich.

Chłopi jak Pogan, Marcinek, Morton, Gębala, Wyrobek i wielu, wielu innych dziś są mile widziani nie w jednym, ale licznych pismach.

Rzuciłeś myśl powrotu do Polski, niechże to nie będzie tylko marzeniem. Nie obawiaj się, na Syberię Cię nie wywiozą, jak głoszą „Gońce" i „Posłańce".

Szkoły, świetlice, domy ludowe, koła organizacyjne, biblioteki czekają na instruktorów - nauczycieli, a „Wieś" czeka na pamiętniki z lat tęsknoty, tułaczki i pracy na obczyźnie.

Wracaj Ludową Polskę budować.

Seweryn Skulski

O poprawę bytu młodych pisarzy

Szanowny Panie Redaktorze!

Coraz to częściej słyszy się o nowych talentach pisarskich wydobywających swe zdolności na światło dzienne. Utworzona w Warszawie poradnia literacka dla młodych pisarzy, która powstała przy Z.Z.L.P. (Oddział Wiejski) posiada już pewną ilość wartościowych klientów, którzy w przyszłości mogą stworzyć nowy narybek na polu poetyckim i pisarskim. Są to przeważnie talenty robotniczo - chłopskie. Znam kilku młodych pisarzy, którzy powiedzieli mi, że byt materialny na jakim się opierają, jest godny najwyższego pożałowania. Młody pisarz — chłop jeśli nie ma odpowiednich warunków do życia nie może nic wartościowego dać z siebie i nie może systematycznie i gruntownie pracować nad sobą. To bardzo ujemnie wpływa na jego twórczość. Są talenty, które pragnęłyby całkowicie poświęcić się pracy pisarskiej, ale anemiczny ich byt codzienny, zmusza ich do szukania zarobku, czy to ciężką pracą umysłową, czy też fizyczną. Młody pisarz traci przez to chęć do pracy twórczej, stwierdzając, że bez pracy, zginie, ponieważ sama twórczość nic mu na razie nie da. Państwo podobno interesuje się młodymi początkującymi pisarzami i pragnie im dopomóc, na razie jednak nic konkretnego nie uczyniono na tym polu. Można by przecież przeznaczyć jakieś stypendia dla tych pisarzy robotniczo - chłopskich, nie wyłączając tych, którzy jeszcze nie debiutowali ze swymi utworami, ale okazujących talent. Niech młody pisarz robotniczo-chłopski wie, że państwo bierze go pod swe opiekuńcze skrzydła, które nie pozwolą zginąć jego talentowi. Ta sprawa powinna się odbić echem w społeczeństwie, państwo powinno się tym zainteresować. Talent poetycki lub pisarski to rzadkość, której wartość przewyższa stokrotnie pieniądz. Poeta lub pisarz z talentem rodzi się jeden na sto tysięcy, a nie na odwrót. To trzeba wziąć pod uwagę, że jeśli by państwo ufundowało jakieś 50 stypendiów, to przecież nie byłoby to tak wielkim ciężarem dla niego. Zagranica dba i to bardzo o swoich pisarzy, a dlaczego my o to nie dbamy, czy nas na to nie stać? Sprawa ta jest paląca i powinna znaleźć należyty oddźwięk i pozytywne załatwienie.

Marian Śliwiński.
(Lublin)

Od Redakcji

W związku z listem p. M. Śliwińskiego zwracamy się do Poradni Literackiej Z.Z.L.P. przy Oddziale Wiejskim. Zmagazynowane i ocenione materiały debiutujących z prowincji, z małych miasteczek i ze wsi pisarzy winny ujrzeć światło dzienne na łamach „Wsi". Przegląd tych prób i dorobku nieznanych „samorodnych" twórców dałby podstawę pod rzeczową dyskusję i projekt materialnej pomocy nowo odkrytym, najczęściej młodym, o bardzo skromnym zapasie wiedzy debiutantom.

Przy okazji ponawiamy (niezależnie od wielu listów) zaproszenie skierowane do Dyrektora Departamentu Literatury w Min. Kultury i Sztuki Ob. H. Michalskiego. Prosimy o odbycie konferencji z nami w Klubie „Wsi".

W OSTATNIM 13—14 (142—143)

z dnia 28 marca — 4 kwietnia 1948 r.:

Aleksander Litwin — Współzawodnictwo a humanizm; Bezimienny wiersz z czasów okupacji; **Anna Seghers** — Siódmy Krzyż; **Witold Jedlicki** — Obraz Niemiec; **Lech Budrecki** — O powieść katolicką; **Stanisław Stefan Gębala** — Winowajcy; **Tadeusz Różewicz** — wiersze: Opowieści o przedwiośniu — Feniks — Krtań wolności — Ale kto zobaczy...; **Marian Narcyz Listowski** — Róże i lasy; **Józef Bieniek** — Żydzi; **Tadeusz Drewnowski** — Na bocznicy rozwoju literackiego; **Anna Kamieńska** — Kultura drukowana; **Witold Łukaszewicz** — Śmierć Szymona Konarskiego; Wiersz Szymona Konarskiego napisany na 24 godziny przed rozstrzelaniem; **1939—45 Listy ze wsi: Władysław Błachut** — W pobliżu Kalwarii Zebrzydowskiej...; **Teodor Goździkiewicz** — Narady o kontyngentach; **Maciej Czuła** — Wysiedleńcy na wsi; **Adolf Olechnowicz** — Spotkania wojenne; **Marian Minias** — Łowiczaki a wysiedleńcy; **Seweryn Skulski** — Wieś Kolankowo; **Leon Pokora** — U źródeł „Wsi Tworzącej"; **Józef Bieniek** — Akcja w Jelnej; **Jan Nagrabiecki** — Garść wspomnień z lasu; Kartki z pamiętnika; **Fakty i zdania: Paulina Czyżowa** — Taka pochwała „Odrodzenia"?; **Piotr Pigwa** — Starsi i młodsi Wiciarze; **Zygmunt Stolarski** — Chłop w oczach inteligencji; **Konkurs:** „Ilu zdobędziesz prenumeratorów wsi?"; Komunikaty; 28 ilustracji; 16 stron.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Wydawnictwo „Gebethner i Wolff"

Eliza Orzeszkowa — Panna Antonina, str. 48
Bohdan Pepłowski — Całun, str. 511
M. J. Zaleska — Młody Wygnaniec, str. 336
Władysław Orkan — W Roztokach, str. 334
Ewa Szelburg-Zarembina — Wędrówka Joanny, str. 327
Bolesław Prus — Placówka, str. 348
Helena Boguszewska — Świat po niewidomemu, str. 128
Władysław Orkan — Komornicy, str. 159
Helena Boguszewska — Czekamy na życie, str. 223.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—025549